

Mam bardzo dużo wad. Mam jedną zaletę: niczego się w życiu nie bałam. Ani cywilnie, ani psychicznie. Może to brak inteligencji, może brak wyobraźni... Ale ja się po prostu nie boję. Uważam, że człowiek siedzący w więzieniu, skuty, jeżeli nic nie robi powodowany strachem, jest wolny. A człowiek, który jest dyrektorem departamentu i robi coś dlatego, że może przestać nim być — jest niewolnikiem.

Ludzie się boją. Oni zrobili z tego narodu [z Rosjan] zupełnie wymóżdżony, bezmózgi stwór. I zrobili to w tej chwili z nas. Oduczili społeczeństwo pracować. Człowiek jest jednym wielkim strachem. Czytam teraz pamiętniki kresowe — strach jest dominantą uczuć. I strach był dominantą uczuć u nas [w Polsce], przez 40 lat.

Nie wiem z jakiego powodu [zwolniono mnie z obozu]; podejrzewam, że ponieważ mój ojciec stawał na głowie, żeby mnie stamtąd wyciągnąć, widocznie moje papiery były „na górze”. ZSRR tym się odznacza, że jest największym bałaganiarzem. Zawsze byłam sprytna, urządziłam się wtedy [w obozie] jako pielęgniarka, w Drugim *Sangaradkie*, nota bene na korpusie wenerycznym, w straszliwie rozłazającym się syfilisie. Miałam nocne dyżury. Pewnego dnia śpię. Ktoś mnie chwyta za ramię — mnie obudzić to całe życie było ciężko, „*Basieczka, idziosz na swobodu*”. Na co ja mówię bardzo grzecznie:

— *Idzi ty k'czortu i daj spać.*

— *Basieczka!* — on krzyczy. — *W mordu mnie dasz! Czestnyje słowo, szto idziosz na swobodu!*

Ja siadłam, mówię: „Co ty gadasz?”.

— *Idzi! Priszła lista oswabażdzionych...* — ty na tej liście i tak dalej.

Przestałam spać, włożyłam walonki, pędzę. Prawda, jest lista. Na niej jest niejaki pan **Adolf Zięba**, oficer „Dwójki” (staruszek, miał wtedy lat 38), **Mietek Cieszko**, akowiec spod **Lidy** — z takimi wyrokami, jak ja (10 lat), ja, Polak z wyrokiem 7—letnim, jeszcze jedna kobieta, **Palma**, która miała taki wyrok, jak ja. Zostają **Flak** (teraz on się nazywa **Wierzbicki**), **Korbecy**... I strasznie śmieszne uczucie: ja się zaczynam czuć winna, że oni zostają.

Posyłają nas do **Pieczory**, do punktu piersylnego. Nazajutrz *s wieszczami*, zbierają się, wsadzają do pociągu. *Sangaradok* stał na górze — maleńki pagóreczek, ale tam nie ma roślinności, więc widać. Oglądałam się i robiło mi się przykro. Byłam szalenie przywiązana do tych ludzi, którzy zostawali. I oni byli przywiązani [do mnie], myśmy się ratowali. To jest naturalnie śmieszne i dziecinne, ale my siadywaliśmy godzinami, całymi nocami, i rozmawialiśmy na rzeczy szalenie aktualne: co by było, gdyby Władysław IV został carem Rosji? Albo: co by było, gdyby Bolesław Chrobry... Tu

wyła ta purga za nami, głodni jak nie wiadomo co, opuchnięci, bez żadnych nadziei na przyszłość... To chyba była moja zasługa. Zapominaliśmy o świecie, ponieważ robiła się piekielna awantura z powodu Watykanu, że nie pozwolił przyjąć prawosławia Władysławowi IV i dlatego...

Pyt.: I dlatego żeście w łagrze siedzieli?

Nie! Nie było łagru! To była dyskusja teoretyczna. Bo gdyby Władysław IV został carem, co by wtedy było, gdyby Polska była mocarstwem. Lager nie istniał, w ogóle nie wspominaliśmy. To było zagadnienie.

Teraz, po tych 50—ciu latach i po przeczytaniu [wielu wspomnień] widzę, co to była za psychiczna siła. Co to była za radość. Może dlatego ja wróciłam śpiewająco.

Co chwila były takie szalone zagadnienia, szalenie aktualne. Nie o tym, skąd dostać kawałek chleba, skąd dostać kawałek tytoniu. Tytoń się załatwiało; ja kiedyś czyściłam klozety za tytoń, sprzedawało się *pajkę*. Wracaliśmy z roboty, siadaliśmy i był dalszy ciąg dyskusji. Nie mówię, że ciągle, trzy lata o tym samym. Ale w tym typie. Wyższość na przykład Sienkiewicza nad Żeromskim i na odwrót. Awantura! Pamiętam, że trzy dni się kłóciłam z **Gustawem**, bo ja twierdziłam, że Sienkiewicz, a on — Żeromski.

Strasznie mi było żal. Idziemy, prowadzą nas — psy, karabiny, wszystko jak trzeba, jesteśmy dziwnie spokojni, i biegiem. „*Biegom! Biegom!*” Nagle ten „staruszek” Zięba, lat 38, mówi do mnie: „Barbara, nie wytrzymuję, serce wysiada”. A ja miałam te ogromne chody u *blatnych*. Podchodzę do jednego, nie pamiętam jak się nazywał. „*Śluszaj, ja nie magu, sierce*”. A on na to — gdybym żyła jeszcze sto lat, to bym ja to pamiętała — wysuwa się na przód, bierze harmoszkę i [śpiewa], w [powolnym] tempie. Naturalnie straż: „*Skarej!! Takaja twaja mat'!!! Skarej!!!*” [On dalej śpiewa], w ten sposób, najspokojniej, doprowadza nas te 5 kilometrów do **Pieczory**.

W **Pieczorze** pytają się:

— *Mackiewicz!!!*

— Warwara Stanisławowna, god raǰdzenie 24, stat'ja..., kaniec sroka 59 god.

To jest koniec 1948 roku.

— *Wasz srok nakazan'ja mieniajetsa na zsyłku za prydziel Sawieckawa Sajuzza w Polsce. Wy sagłasny?*

Wasz wyrok zmienia się na banicję poza granice Sowickiego Sojuza, do Polski. Czy ja się zgadzam. Czy to nie dowcip?

Na to ja grzecznie mówię: „*Da, ja sagłasna*”. — „*Padpiszytie*” — patrząc na mnie z ubolewaniem.

Moją koleżankę, która tam doszła z innego [łagru], zapytali się: „*Może wy choczecie ostat'sa?*” Na co ona zaczęła histerycznie wrzeszczeć: „*Nie! nie! nie!*”. Mało jej nie zatrzymali.

Wsadzili nas do pociągu, wiozą, przywożą do Moskwy, do punktu piersylnego Kaganka. Były tam [w tym transporcie] dwie Polki i ja trzecia. Oddzielają mnie od tych kobiet, wsadzają do celi. To były chyba jedne z najgorszych dwóch tygodni, jakie w życiu przeżyłam. Bo dowiaduję się, że tamci pojechali, a mnie zostawiają. Dotąd nie wiem, dlaczego. Te dwa tygodnie były koszmarem.

Poznałam tam między innymi taką dziewczynkę, miała lat 19. Nie mówiła po polsku. Była Polką spod Baranowicz. Pytam ją:

– *Za szto ty sidzisz?* – myślałam, że za jakiś *proguł*...

– *Kak eto za szto? Za AK.*

[Rok] 48, jesień. Ja na to:

– *Kak eto „za AK”?*

Na co ona mówi po polsku:

– Nie ten Polak co ucieka, a ten co czeka.

– No dobrze. Londyn kazał wam czekać?

– A kazał. Ale my poszliśmy do lasu, bo nie możemy podatku płacić.

Myślę: ścierwa!! Wyjechała panna Mackiewiczówna, ktoś tam z inteligencji polskiej... My nie podpisaliśmy obywatelstwa, ja za to wiedziałam, nie mam nogi. Przez to, że ona została już po wojnie, ona jest obywatelką [Związku Radzieckiego]. Nie ma dla niej ratunku! Ma 25 lat katorgi, jedzie do kopalni.

Siedzę tam przez te dwa tygodnie. Nagle ona włązi na zakratowane okno i krzyczy do mnie:

– *Basieczka, smatri! Nasi chłopcy.*

Włążę na okno, stoi dwunastu czy trzynastu chłopaków, po lat 19–20, z orzełkami na czapce, za AK. I czyja to była wina? Bo jeżeli „nie ten Polak co ucieka, a ten co czeka”, to w takim razie siedźcie cicho i płacicie podatki. A nie idźcie walczyć do lasu. To bardzo łatwo siedząc tam, pijąc wino mówić o szczeniakach 20–letnich, żeby walczyli z potęgą rosyjską. Poszli zupełnie w piasek.

Nareszcie po dwóch tygodniach mnie samą wsadzili do wagonu „zak” – to jest pulman, który ma zabite okna w przedziałach, a między korytarzem a przedziałami jest krata, okna w korytarzu. W przedziałach są trzy nary. Jedzie się przeważnie trzymając się kraty. Korytarzem chodzą [konwojenci]. Kiedyś posłyszałam, jak jeden do drugiego mówi: „*Szto ty naduśa jak polski ksiądz*”. Musiałam się schować, bo myślałam, że ryknę śmiechem; doskonałe powiedzenie.

Dowieźli mnie do Brześcia, tam był punkt piersylny. Trzy dni tam siedziałam. Przejeżdżaliśmy przez Bug, za Bugiem coś się zepsuło i pociąg stanął. Była noc. Mnie się zechciało siusiu. Wysłałam – przerażona! Żadnego konwoju, żadnej wintowki, żadnego psa... Człowiek biedny, nieszczęśliwy, każdy na niego może napaść.

Wysłałam zrobić siusiu. Naturalnie byłam przekonana, że jestem w wolnym kraju. Jestem w Polsce — wymarzonej, ukochanej Polsce. W nocy poszłam zrobić siusiu. W momencie, kiedy wstawałam, żeby wciągnąć majtki, usłyszałam:

- Dokumenty!
- *U mienia niet nikakich dokumentow* — po rosyjsku.
- *Idzicie sa mnoj!*
- *Nikuda nie pajdu. Ja zdzies' ze specetapa.*

Na to on pyta, z jakiego? Mówię:

- To nie moja rzecz wiedzieć, tylko wasza. Dajcie mi spokój.

Puścili. W tym momencie zaczęło być coś nie dobrze — ja byłam w wolnej Polsce.

Z Brześcia do Białej Podlaskiej jechaliśmy prawie dobrę. Nie wiedziałam, gdzie jedziemy. Stanęliśmy w polu. Baby kopały kartofle. Ja wyciągnęłam swoje pończochy — śliczne, fildekosowe pończochy, z których byłam bardzo dumna. Podeszłam do tej baby, że ja do tych fildekosowych chcę trochę kartofli. Ona na mnie popatrzyła jak na śmierdzące łajno i powiedziałam, żebym przyniosła coś, to nam da kartofli. I dali nam CAŁE WIADRO KARTOFLI. My te kartofle gdzieś ugotowaliśmy — nie pamiętam, na ognisku czy gdzieś; wyszło po pół kartofla na osobę. W życiu nie jadłam nic tak dobrego.

Jeszcze wcześniej, w Brześciu stał polski kolejarz. Wskoczyliśmy, zaczęliśmy się pytać, jak to jest w Polsce. On obejrzał się, „Nic — mówi. — Ruskie nam przysyłają bawełnę, my za nią płacimy, robimy im ubranie i posyłamy. Przeważnie darmo”.

Potem wyskoczyłam [na dworzec], zobaczyłam pomidora. Musiałam mieć na jego widok taką mordę, że ten kolejarz spytał, czy chcę tego pomidora. Zobaczyłam, że kosztuje 25 złotych! Straszna ilość pieniędzy! Byłam przyzwyczajona do złotych przedwojennych. Kolejarz powiedział, że mi go zafunduje, i dał mi. Minęło 50 lat, a ja umieram ze wstydu. Zamiast polecieć do wagonu i podzielić, wlałam za stację kolejową i sama zżarłam. To było świństwo. Mogłam się chociaż z jedną koleżanką podzielić.

W Białej Podlaskiej ustawili nas, policzyli, zrobili apel — imię, *otczestwo*, *god raǰzenia*, wszystko jak trzeba — i rewizję. Już nasi. Miałam worek, niesłychanej „czystości”. Wysypałam mówię: „Przecież to jest idiotyzm, ludzie wracają z łagrów. Co oni mogą mieć? [Tyle było rewizji], może być jeszcze jedna. Szukajcie granatów!”. Wszyscy, jak jeden mąż wybieraliśmy się walczyć o ojczyznę.

Zrobili nam rewizję jeden raz, drugi. Była ściana, na której zostawiało się wiadomości. Ja z myślą o swoich przyjaciółach, których zostawiłam, napisałam, że jadę tam i tam. Jeden jedyny adres, który miałam, to Krystyny Krahelskiej, takiej komunistki, Malczewskiego 19; to byli moi wujowie. Poza tym nie wiedziałam niczego. Gdzie syn, gdzie matka, nic. O ojcu wiedziałam, że przypuszczalnie jest w

Anglii, ale też nie wiedziałam nic. Napisałam [karteczkę z adresem], podszedł do mnie oficer, pan major Chmielewski (mam nadzieję, że siedzi w piekle) i mówi:

– No cóż to, panna Mackiewiczówna do Polski przyjechała? A co pani będzie robić?

– Pójdę na uniwersytet.

Pomachał mi palcem.

– O, to nie pani Polska. Do roboty! Na żaden uniwersytet pani nie pójdzie.

Pomyślałam sobie „dureń jakiś”; nie wiedziałam, że on ma rację.

Dali nam po 2 tysiące złotych, przejazd darmowy po całej Polsce, gdzie [komu] trzeba. Ja wzięłam do Warszawy. Ubrali w prześliczny szynel kolejowy, w bluzę i spódnicę. Przyjechałam do Warszawy, na Woli był barak PURu, tam przenocowałam i wyszłam, żeby pojechać na Malczewskiego. Szczęśliwa, w humorze, 2 tysiące złotych... Ponieważ przez całe życie – i dotąd – kochałam wodę sodową, zobaczyłam malusieńki sklepik, gdzie dawali wodę sodową. Wchodzimy (z Jadzią – „Krakauerką”, ciągnęłam ją z sobą), przy ladzie stoi polski robotnik – to jest Wola. Patrzy na mnie i pyta: „Dziewczyno, a ktoż ciebie tak ubrał?!” Mówię:

– Przyjaciele ze Wschodu.

– Kurwa mać! Wypijem wódki, żeby ich cholera wzięła – tak dosłownie.

Pierwszą rzecz, jaką zrobiłam na ziemiach polskich – wypłam wódkę „na pohybel komunistom” z robotnikiem polskim. Jadzia (ta moja koleżanka) była zgorzonna, że piję wódkę z mężczyzną, i do tego robotnikiem.

Z Malczewskiego odwieźli mnie na Wolę, gdzie mieszkała moja siostra. I skończyła się radość, zaczęło się najstraszniejsze w moim życiu życie. Mało powiedzieć, że byłam „kategoria B”; ja byłam „kategorii G” obywatel.

Po paru miesiącach po moim przyjeździe ukazały się we wszystkich gazetach ogromne tytuły: „Były zięć Cata – Mackiewicz agentem ...” [nie rozumiem czego] – o moim mężu, Rzepeckim, który był „Klosem” w Wilnie, w gestapo. Był wtyczką Sergiusza Piaseckiego, który był szefem Egzekutywy. Skończył u „Łupaszkii”. To bardzo piękna postać, ale miała bardzo złą opinię w Wilnie podczas okupacji. Dziesięć czy dwanaście osób wyciągnął z gestapo. Ale – był nastawiony do komunistów...

Moja ankieta [personalna] była cudowna: przed wojną nic, nic, nic; naturalnie do majątków mojej matki nie przyznawałam się. Potem się zaczynało. Do jakiej organizacji w czasie wojny? Armia Krajowa. Przez kogo sądzona? Przez „trójkę” wojskową, na 10 i 5 lat. Mąż: Polska Ludowa – na karę śmierci, potem zamieniono na 25 lat. Tatuńcio: PREMIER rządu londyńskiego! Moja siostra, która miała [tylko] tego „premiera”, miała wystarczająco przykrości [z tego powodu]; a już ja? Co tylko zobaczył to jakiś personalny, to jeżeli był dowcipny, zaczynał się śmiać. A niedowcipny mówił: „Nie, proszę pani, miejsc nie ma.”

Najpierw przyjęła mnie do poradni zdrowia psychicznego taka **Kuncewiczowa**, przyjaciółka Bieruta, i mnie ochraniała. Potem umarła i w ciągu dwóch dni mnie wyrzucono. Zaczęła się gehenna. I ja poszłam do stołecznego komitetu partii. Przyszłam do nich (zawsze byłam szalenie elegancko ubrana) i powiedziałam, że prostytutką nie będę, bo nie umiem i nie lubię; złodziejką nie będę, bo nie umiem i nie lubię. Jeżeli nie mogą dać mi pracy, to niech mnie wsadzają do więzienia z powrotem, a dziecko biorą do *dzietskiego domu*. To jest rok 1951, mój syn ma lat 10. Ja jestem sama. Moja siostra z moją matką mają jedną parę butów. Nie mam mieszkania, nie mam nic.

Mieszkanie sobie o tyle urządziłam, że poszłam w Otwocku do księdza i powiedziałam mu, że są dwie siły w Polsce: Kościół i partia. Do partii się nie mogę zwrócić, a do kościoła przychodzę. On mnie znalazł pokoiczek u dwóch starych panien, arystokratek, które nie znosiły pierwiastka męskiego. Uprzedziły mnie, że żaden mężczyzna nie może tam wejść. Po pół roku sprowadziłam syna, więc były oburzone. Powiedziałam, że ja wytrzymuję ich koty, więc niech one [zniosą mego syna]. Do końca byłam z nimi w bardzo dobrych stosunkach. Bez wody, bez klozetu, z dachem przeciekającym. Jak spaliśmy, musieliśmy się zakrywać ceratami, bo się lało.

Od razu po przyjeździe poszłam na Uniwersytet, chciałam się zapisać. Chmielewski miał rację. W sekretariacie rektoratu sekretarka wzięła moją ankietę, popatrzyła na mnie i powiedziała:

– Czy Pani warto się upokarzać? Przecież Pani nie przyjmą nigdzie. Niech Pani weźmie te papiery.

Poszłam na 3–miesięczne kursy kosztów własnych. Nigdy w życiu mi się nie zdarzyło, żeby starczyło mi [pieniędzy] do pierwszego. Skończyłam z odznaczeniem.

Skierowali mnie do [pracy] – przemysł terenowy, wyroby z blachy i drutu. Na godzinę siódmą rano. Jako kosztowiec. Później byłam najlepszym kosztowcem w całym tym przemyśle terenowym. Ale co dzień o szóstej siedziałam w pociągu, a ponieważ miałam strasznie mało pieniędzy, zawsze chwytalam jakieś przepisywanie, dodatkowe prace; wracałam do domu o godzinie ósmej, dziewiątej.

Ale oni doszli do wniosku, że muszę zapłacić za to dobro. W każdej instytucji była tzw. ochrona, gdzie siedziało UB. Osobny pokój, drzwi wyciszone, ceratą obite. Dali mi pracę, nie minęły dwa tygodnie – wezwali. Co u mnie słyhać, kogo mam za granicą? Ojca. Czy się z nim komunikuję? Tak, dostałam wieczne pióro. A co ja myślę...? Co ja myślę, to ja myślę. A bo pani ma takie dobre stosunki z ludźmi, tak pani nawiązuje znajomości. Czy pani mogła by... Co ja bym mogła? A nie, nie...

Posiedziałam tam pół godziny. Miałam za sobą półtora roku śledztwa [w Wilnie]... I mam podpisać, że nikomu nie powiem o tej rozmowie. Wyjmuję – „Widzi Pan, to

jest to pióro, które dostałam od ojca” – i piszę: „Niniejszym oświadczam, że nikomu nie będę mówić o rozmowie, która została przeprowadzona dnia...” Chcę się podpisać, „Pani poczeka. Pani podpisze, że w razie czego, gdyby coś...” Rzuciłam pióro.

– A jak nie podpiszę?

– To będzie źle.

– To będzie źle! Ja tego nie podpiszę.

Ciągali mnie, trzymali, do celi wsadzali, zdejmowali ze mnie pasek, sznurowadła – prawie 9 miesięcy. Skończyło się, jak wstałam i powiedziałam:

– *Idzicie wy na chuj* – i trzasnęłam drzwiami. Więcej się do mnie nie odezwali.

I teraz – ilu ludzi mogło się załamać? Któregoś dnia przyjeżdżam do domu, moje dziecko kroi kawałek chleba i mówi: „Dobrze, że przyjechałaś, bo nie wiedziałem, co jutro będę jadł.” Nie załamałam się, bo zanadto dobrze ich znałam. Wiedziałam, że nic mi nie zrobią. W momencie, kiedy bym podpisała – już bym nie żyła. Dlatego, że oni mają nade mną władzę i wtedy mogą ze mną robić, co chcą. A póki nie podpiszę, póki nic nie powiem, tyle mi zrobią.

Pyt.: Dokładnie tak samo, jak w Wilnie w czasie śledztwa.

Tak. No ale potem, w Grodnie, wreszcie się przyznałam.

Jedna jedyna rzecz: nie wolno pójść na sekundę ustępstwa. Nieprawdą jest, żeś mądrzejszy od nich. Ludzie podpisywali – „będę się wykręcał...” Gówno! Nie będziesz. Podpisałaś, nie spełniasz warunków – idziesz siedzieć. A tak – ja przepraszam, jestem wolna.

Naturalnie nie było to bardzo elegancko powiedzieć: „*Idzi ty na chuj*”. Ale chyba to ich przekonało.

Koleżanki i koledzy [w pracy] nic o tym nie wiedzą. I mnie, jako tego wspianiałego kosztowca, chcą doksztalcić. Ja tam obliczam, ile kosztuje jeden gwóźdź do butów, siedzę całymi nocami, szukam jednego grosza... I mnie typują na kurs doksztalcający. Mam już delegację, wypisane, ile pieniędzy mam dostać, już załatwiłam, żeby ktoś przyjechał siedzieć z dzieckiem w Otwocku, idę tylko do personalnego, żeby mi podpisał legitymację i ten kwit na pieniądze. Na co personalny mówi do mnie: „A co pani myśli, że Polska Ludowa będzie panią doksztalcać? A poco nam takie? Polska Ludowa wie, kogo doksztalcać, a kogo nie. Ja nie mówię – pani dobrze pracuje. Ale niech pani siedzi cicho.” I mnie nie posłał.

Przychodzi 1955 rok, zaczyna się odwilż. Spotykam koleżankę mojej siostry, która jest dyrektorem Instytutu Wydawniczego PAX. Mówi: „Chodź do nas.” Ja wszystko rzucam i do nich przychodzę. Zaczynam jako sekretarka dyrektora... Że on wytrzymał ze mną trzy miesiące, to uważam, że jest święty. Ja siedziałam rozwalona i się darłam, zawsze rozczochrana... Szybko przeszłam na tę swoją pracę lektora – oceniania [pozycji] do wydania. Literaturę mam w jednym palcu. Ze mnie redaktor

merytoryczny żaden, stawianie przecinków to abrakadabra, ale ocenić co, jak pochodzi, to ja umiem. Byłam ceniona; jedyny chyba redaktor tego rodzaju bez wyższego wykształcenia w Polsce.

Jak poszłam do PAXu, to moja rodzina zrobiła mi awanturę, że lepiej było do partii zapisać się. Nie uważam. PAX mnie uratował. W PAXie siedzieli sami akowcy, średni personel to byli ludzie najprzyzwoitsi na świecie.

1957 rok. Zaczęłam pisać do „Słowa Powszechnego”, do „Kierunków”. Napisałam, dostałam jakąś wierszówkę, na rogu była knajpa. Poszłam na kieliszek wódki. Wzięłam kanapkę, kieliszek wódki, stoję. Nagle koło mnie staje facet z biczem — wozak węgla. Mówi do mnie „dzień dobry”. Ja, ponieważ jestem dobrze wychowana, mówię „dzień dobry”.

— A pani mnie nie poznaje? Bo ja byłem personalnym, w „drucie”.

— Ach — ja mówię — widzi pan, jak to Polska Ludowa wie, co robić. Ja jestem redaktorem, Pan jest wozakiem i wszystko jest w porządku.

Od 1957 roku zaczęło się lepiej.

Pyt.: W Pani relacji są takie słowa, że to, co było w Polsce, komunistycznej, było gorsze od więzienia i obozu.

Gorsze. To była beznadzieja. My wracaliśmy do wolnej Polski. Już jest po „3 x TAK”, po historii z Okulickim; my o niczym nie wiedzieliśmy. Wracaliśmy do WOLNEJ POLSKI. Byliśmy przekonani, że może mieć lewicowe rządy... Czy ja mam coś przeciw lewicowym rządóm? Ale okazało się, że wróciliśmy do kolonii rosyjskiej.

To było pokolenie ruin. Zaczęło walczyć o Polskę skończywszy lat 18, wyszedszy z gimnazjum. Moja pierwsza praca konspiracyjna była w czasie strajku [szkolnego] w Wilnie, za czasów litewskich. A ostatnia konspiracja to była wojna jaruzelsko — polska; [w moim mieszkaniu] drukowało się „Mazowsze”. Czy to nie za dużo, jak na jedno pokolenie? Naturalnie tu była młodzież, nie ja drukowałam, ale ja byłam gospodynią, odpowiadałam w razie czego.

Psychicznie było gorzej. Beznadzieja. Radość w 1956 roku — koniec. Poczucie wolności w 1980 — i potem ta straszna historia [ze stanem wojennym]. Nareszcie czerwiec 1989. Nie zależy od Rosji, ani od nikogo.

Pyt.: Ciągłe ktoś Panią pyta o łagry, o więzienie. Gdyby Pani o to nie pytano... Czy to cały czas jest?

Cały czas. Dotąd, w momencie, kiedy się za mną zamknie drzwi na klucz, dostaję hysterii. Nie mogę siedzieć w oknie z kratami. Ja śnię.

Na czym polegała groza łagrów rosyjskich. Nie mówię o głodzie, który jest ciągle i stale. Nie mówię o zimnie, o tym, że człowiek marzył, żeby było mu ciepło. Nie mówię o zmęczeniu. O zmęczeniu to jest taka historia, że jeżeli my wstawaliśmy o godzinie 4 rano, szliśmy na *lesopowal* i wracaliśmy o godzinie 6–7 wieczór, braliśmy żarcie,



zjadaliśmy i waliliśmy się na nary. Natychmiast zasypiałam. O 4 budziłam się zupełnie wypoczęta. Jeżeli ja teraz zacznę pracować umysłowo albo coś pisać – to nie mogę zasnąć ze zmęczenia. To było naturalnie ponad możliwość tego trudu. Ale jak się oszukiwało w normach. Np. trzeba było ułożyć metr kubiczny – to znaczy po polsku sześcienny; jest cały szereg rzeczy, których ja nie umiem po polsku, nie znam polskich słów, zawsze powiem kubiczny zamiast sześcienny – chrobotku reniferowego. Żeby się do niego dostać, trzeba było śnieg wysokości tego domu przekopać kilofem, nie łopata, bo był zamrznięty, i ułożyć pryzmę. Wkładało się bryły śniegu i obkładało chrobotkiem. Co nas obchodzi, że renifery zginą z głodu? Ja mam *pajkę*.

Na samym początku była w *oleń – sowchozie*, na południu **Pieczory**. Sadzono tam kartofle. Żeby dojrzały i były wielkości orzecha, otaczane były ogniskami. I nagle – trzeba je pleć. No więc co robi wychowanka Polski nie – ludowej, którą nauczono pracować? Pieć. Przychodzi *blatnaja*:

– *S uma sasza! Kagda ty normu szdiełajesz? Nikagda!*

Bierze ziemię ręką i zasypuje nią zielsko. Norma jest? Jest.

Robimy nasyp pod tor kolejowy. Trzeba śnieg odgarnąć do ziemi. Tory kładzie się na śniegu. Wylatuje pociąg. A co to nas obchodzi?! W 1949 roku jak wróciłam, powiedziałam: Rosja nie może długo tak trwać, bo wszystko na tym polega. I w więzieniach, i na swobodzie.

Pyt.: Z tego wszystkiego wynika, że Pani sobie radziła. To co wraca w snach?

Powraca poczucie tego, że jesteś zamknięty. Że nie możesz się ruszyć. Że jesteś niczym.

Siedzisz na ławce i rozmawiasz z chłopakiem. Jesteś z nim w przyjaźni. I przed wami staje facet i mówi: „*Chadi!*”, i wyrzuca tego chłopaka i idzie za nim. A on bez słowa, nie może powiedzieć „do widzenia”, musi iść. Nie wiem, czy dam radę wytłumaczyć.

Człowiek wiecznie zmarznięty i wiecznie głodny. Wiecznie walczący z wszami, pluskwami.

Pyt.: Tam jest taki obrazek, że stoi Pani z Gustawem [w obozie] i oglądacie zorzę...

I ja mówię do Gustawa „warto było przyjechać, żeby to zobaczyć.”

Pyt.: Przyjechać – przejść to wszystko.

Tak.

Pyt.: I to prawda?

To prawda. Ja tak powiedziałam.

Widzi pani, może ja jestem nietypowa, może mam piekielną siłę życia, zwierzęcą. Ja nie byłam nigdy delikatniutka.

A pamięta Pani tę scenę [ze wspomnień], kiedy wchodzę do celi *blatnych* i przez pięć minut rugam się? Ja byłam wychowana, gdzie słowo „dupa” było szokiem. A tu

przez pięć minut, na wszystkie sposoby, wszystkimi znanymi słowami; „ajlawiu”... To jest umiejętność przystosowania się. Jeszcze jedno: ja wiedziałam, za co siedzę. Ja siedziałam słusznie, sprawiedliwie — ja byłam wrogiem. Ja siedziałam za Polskę. Byliśmy tak wychowani. Siedzenie mnie nie upokarzało. Gdybym miała usiąść za to, że ukradłam 5 złotych, to bym chyba umarła ze wstydu. A my wiedzieliśmy, za co siedzimy.

Pyt.: W poprzedniej relacji są takie zdania, że jesteście przegrani — wy, akowcy z Kresów.

Przeegraliśmy strasznie. Bo co to jest ojczyzna. Ojczyzną dla każdego jest co innego. Dla urzędnika biurko, dla wojskowego — szabelka. Ten kościół obok... Niech Pani nie wierzy, że ojczyzna to coś abstrakcyjnego. Żeby coś kochać, trzeba to mieć namacalnie.

Dla mnie ojczyzna to była moja ziemia, cały Kres i Wilno. I ja tę ojczyznę straciłam. NIGDY nie przyzwyczaję się do Mazowsza. Do ludzi z Mazowsza. Do traktowania przez nich zwierząt. Tamten chłop był biedny, głodny, ale nie przywiązał psa na krótkim kawałku sznurka; siedział na przyzbie i ostatnim kawałkiem chleba dzielił się z psionkiem.

Ja nie wiem, czy bym z Wilna wyjechała. Ja zostałam wywieziona. W tej chwili Wilno jst litewskie i takie pozostanie, zresztą Wilno zawsze było stolicą Litwy. Ale myśmy Wilno stracili.

Nie można powrócić. Byłam w Wilnie w 1979 roku, chodziłam po tych samych chodnikach... W tym samym miejscu załamuje się chodnik, przed naszym domem. Mówiłam wszędzie po polsku i ci Litwini wszyscy mówili po polsku. Ale Wilno już nie jest takie. Przepiękna architektura. Tam w ogóle nie było klasy robotniczej, bo była [tylko] jakaś głupia gazownia. To było miasto uczącej się młodzieży i inteligencji. Miało swoje wady, ale miało charakter, było dowcipne, wesołe. Teraz? W którymś z pamiętnikówtak jest napisane o życiu w Związku Radzieckim: „życie koloru szarego błota”. Genialne.

Nie można do [tego świata] powrócić, bo go nie ma.

Pyt.: A do siebie?

Czyż można do siebie? Do mnie skaczącej z wagonu na wagon po dachach jadącego pociągu — teraz, kiedy ja siedzę i jest zagadnieniem podejść do tamtego stolika? Już sama nie podejdem, nie przeniosę kromki. Ja, która na świecie nic tak nie kochałam jak lasu. Chodzenie po lesie. Nie boję się lasu, ja się boję tłumu. Jedyna rzecz, której się boję, to tłum.

Pyt.: Ale zawsze się Pani bała czy dopiero od jakiegoś momentu?

Nigdy nienawidziłam tłumu. Nigdy nie jeździłam na wycieczki. A po lesie przez całe życie, przed okupacją, w czasie okupacji i po, już w Polsce Ludowej. Nocami chodziłam po lesie zupełnie sama.

Ja wychodzę na kogoś podejrzanego: co jej tak wesoło było?

Węgielny, mój dowódca, siedział za czasów pierwszej okupacji [sowieckiej] i mówił mi, jak wygląda śledztwo. Powiedział o tym wszystkim, ja się później tego trzymałam.

Koniec końcem wyszłam człowiekiem bez nerki – z głodu, okazało się; bez nogi... Nie wyszłam tak już zupełnie lekką ręką. A to, że się nie dałam złamać psychicznie. Czy to moja wina? Czy ja muszę tak płakać jak wszyscy?

Płakałam raz, jak przejeżdżałam granicę Komi ASSR i krzyknięto do mnie: „*Šluszaj Polka, zdies' Polki z Wilna*”. Wychyliłam się, okazało się, że znajome. Jak mnie aresztowali, byłam przekonana, że Ryszard [syn] nie żyje, moja matka nie żyje, wszyscy; oni byli w powstaniu, w Warszawie. I mnie było wszystko jedno – aresztowali to aresztowali, pies mordę... I tak życia nie ma, i tak. Okazało się, że oni żyją. Wtedy się rozplakałam, że nie uciekłam z Wołkowyska.

Miałam dystrofię, „dochodziłam”, miałam 50 wrzodów na jednej nodze (teraz mi ją odjęli) i 30 – parę na drugiej. Były takie momenty – beznadzieja, właśnie ta szarość błota. Leżałaś na narach, szła po tobie pluskwa i nie chciało się tobie jej rzucić. Nazwałam to wtedy chorobą „*wsio rawno*”. Ale wtedy ratowały te „zasadnicze” rozmowy o Bolesławie Chrobrym. Zamiast siedzieć i rozmyślać, skąd jutro wezmę *pajkę* albo co będzie za 10 lat.

Oni dobijają człowieka beznadzieją. I trzeba mieć ogromnie silny charakter, żeby z tej beznadziei się wyrwać.

Pyt.: Czy jest w Pani teraz jakiś obszar, coś o czym Pani wie, że na pewno wzięto się z obozu? Albo że mogło się wziąć tylko z więzienia?

Mam wrażenie, że moje absolutnie plucie na to, jak wyglądam, wzięto się z obozu. Mnie nic nie obchodzi, co mam na siebie włożyć.

Poza tym chyba ta rezygnacja jest z obozu – mnie jest dobrze, tak jak jest.

Pyt.: Bo może być gorzej?

Tak jest.

Tę [drugą] nogę będę miała jeszcze 5 lat; już się zaczyna.

Zawsze możliwa jest śmierć, i to jest cudowne. W moich warunkach to jest cudowne, bo przestaję brać insulinę, zasypiam i koniec.

To, co powiedział Węgielny, to prawda: ja po wariacku nie boję się śmierci. To nie jest normalny stosunek do śmierci.

Dwa i pół lata temu, jak mnie odbierali nogę, wszyscy twierdzili, że nie przeżyję operacji. Każdy lekarz, mój syn chodził blady, siostra nasyłała księży, których ja goniłam. Wszyscy byli przekonani, że nie przeżyję i JA byłam przekonana, że nie przeżyję. Bo ponoć miałam chore serce. Mam cukrzycę, nie wolno mi podawać

narkozy. Zrobili mi znieczulenie. Usłyszałam, jak ta piłka dż—dż—dż, zapytałam lekarza, czy to moja noga, powiedział, że tak. I patrzyłam na monitor, jak mi serce chodzi. Żeby, kurwa, chociaż drgnęło inaczej! Od tego czasu nie wierzę w lekarzy.

Pyt.: Zaskoczyło Panią, że nie umarła?

Bardzo. Jechałam na operację przekonana, że z niej nie wrócę. Potem tylko miała szok i — o! więzienne. Że siedzę między szafami i nie mogę wyjść. I że gaz na mnie puszczają. Pamiętam: „Dlaczego na mnie gaz?”

Nie boję się śmierci zupełnie. I to jest nienormalne. Normalny człowiek musi się bać.

Pyt.: A jak była Pani młoda, też się nie bała?

No nie bałam się. Z miejsca zaczęłam w 1939 roku, kiedy ileś tam razy mieliśmy być rozstrzelani. Potem szłam do swojej przybranej siostry i włożyłam na bolszewików. O tu pamiętam. To było dziwne. Szłam, wzięli mnie naturalnie za szpiega. „Razstrielajem.” „No dobrze, rozstrzelajcie. Ale najpierw sprawdźcie, po co macie brać na sumienie. Tam jest dziewczyna bez obu nóg, do niej idę.” Siadłam, bojec poszedł, [drugi został ze mną]. Pamiętam, popatrzył na mnie i mówi: „*Żałko, takaja maładaja... Ale eto logkaja smiert*”. Pocieszył. A ja siedziałam i cały czas jak zepsuta płyta: „Aha, to już koniec. Aha, to już koniec. Aha, to już koniec. Aha...” Nic, tylko zacięta [płyta], żadnej innej myśli.

Poza tym Niemcy parę razy mnie chwytały, jakoś się wymigiwałam. Może się już przyzwyczaiłam, że śmierć idzie koło mnie, pod rękę.

Strata miłości. Ja nigdy nie zobaczę swojej Lickowszczyzny, krzyża na pagórku, stawu, który już wysechł. Alei kasztanowej, którą pocięły chamy. Nigdy nie zobaczę, nawet jak tam pojedę. Ja śnię, że tam jestem i proszę, żeby mnie zostawić, że będę tam mieszkać.

Nie ma tego świata. Koni, które się pławiło. Jeździło się bryczkami... Nienawidzę samochodów.

Teraz to już beznadziejnie: ja nie mogę wrócić. Dopóki miałam nogę, mogłam wrócić. Zaszyć się gdzieś, wziąć psy i mieszkać. Teraz już nie.

W teh chwili mnie czeka tylko śmierć. I rozmowy. I czytanie.

Pyt.: W relacji wymienia Pani człowieka, który się nazywa **Antek Kiwilszo**.

Nie wiem, czy on żyje. Mieszkał na ul.Koziej, róg... Naprzeciwko Pałacu Staszica. Calusieńką okupację przesiedział drukując. UB go aresztowało i zrobiło z niego pełnego wariata. To było coś strasznego. Ten facet siedział całymi [nocami]. Porąbał tapczan, bo jak zasypiał, to UB na niego rzucało z sufitu gaz trujący. Według niego. [To już w jego domu]. Ostatni raz, jak go widziałam, siedział na takim małym zydelku, żeby nie zasnąć. Spadał z tego zydelka.

Dostał ks i czekał na wyrok. I go straszili.

Czekanie na wyrok może wykończyć człowieka. TO może zupełnie wykończyć. Ja czekałam na „wyrok” 20 min.; „Aha, już koniec...”. A gdybym miała czekać trzy miesiące? Jemu dali ułaskawienie w nocy, kiedy miał być zabity.

Niedosyt. Nie spełniam oczekiwań [słuchacza]. Każde cierpienie jest dla mnie rzeczą zanadto intymną.

Wsadzili mnie do karceru, setny raz. Gdyby nie te karcery, moje zdrowie inaczej by wyglądało. Ale musiałam rozrabiać, bo mnie roznosiło. Rozebrali mnie do koszuli, woda, zimno jak cholera. Ratował mnie jeden *blatnoj*, ja byłam sławna na całej Łukiszki, bo nadawałam Morse’a, całymi godzinami. On mi w nocy dawał swoją *tielogrejkę*. Dzięki temu przeżyłam. Ale parę razy dziennie przychodził do mnie *grażdżanin śledczy*. I pytał:

– *Biała pticzka, charaszo?*

Na co ja odpowiadałam za każdym razem: „*Prekrasno, grażdżanin sleeeedowatiel*” trzęsąc się z zimna. „*Prekrasno, grażdżanin*” dawałam radę, a na „*sledowatiel*” się trzęsłam. To jest i tragiczne, i śmieszne.

Czy z tego mojego opowiadania nie widać, że to było ciężkie? Po co jeszcze dodawać?

Jak Pani chce, mogę opowiedzieć, jak człowiek ledwo włókł się za brygadą, bo tak bolały wrzody na nogach. Każdy krok był strasliwą męczarnią. Ale wtedy jechało się do *sangaradka* i leczyli. To już są czasy powojenne.

Polaków [w tym obozie] było bardzo mało. To była inteligencja, akowcy, wiedzący, za co siedzą. Ukraińców była masa, każdego rodzaju; to byli chłopi. Między nimi byli tacy, którzy jedni drugich wydawali, tacy, którzy byli parszywcy, i tacy, którzy byli przyzwoici. Ale ich było dużo. Gdyby Polaków była masa, też [wielu byłoby takich], którzy zachowaliby się jak świnie. Tak samo Litwini. Zachowywali się w lagrach nieładnie – to, co ja widziałam. Nie znaczy to, że mogę powiedzieć, że wszyscy Litwini zachowywali się jak świnie. Tyłem do siebie; dostała paczkę, tyłem do swoich koleżanek siadała i zjadała. W tamtych warunkach to było obrzydliwe.

Nie dowieźli nam chleba i wysyłają do roboty. Wyszliśmy nocą, napewno kilkuset albo i więcej ludzi. „Chleba! Chleba!” Wyszedł naczelnik łagru i mówi: „Ludzie, nie dowieźli, nie ma.” Na to my powiedzieliśmy: „Co nas to obchodzi?!” – grzecznie ryczał tłum. Że nie pójdziemy do pracy, póki nam nie dadzą chleba. Po dwóch godzinach chleb był.

Z *blatnymi* trzeba było bardzo ostrożnie. Nie można było z nimi zanadto się przyjaźnić. Ale trzeba było być dla nich grzecznym, oni wtedy byli dla ciebie grzeczni.

*Błatnyje* dzielą się na *błatnych*, *urki* i *giszowców*. *Giszowcy* to jest *padło*, zdolni są na wszystko.

Pyt.: Ale to nie są *suki*?

*Suki* to jeszcze co innego. To są ci, którzy zaczęli pracować, *zsuczyli się*.

Pyt.: I obojętnie, czy wcześniej byli *błatnymi*, *urkami* czy *giszowcami*?

Ale! *Urka* się nie *zsuczył*! *Urka* nawet brzydkich wyrazów nie mówił. W *Grodnie* siedział wielki *urka*, przechodziłaś, to naturalnie wywałął *walczok* i mówił: „*Dziewuszka, mozet byt' u was tabaczku jest' skolko nibud'?*” Dawałaś mu [tytoń], „*Spasibo, oczeń spasibo.*” A potem siadał na łóżku i zaczynał wrzeszczeć. I darł mordę przez pięć dni bez przerwy. Jak ten człowiek wytrzymał, ja nie wiem. To był *urka*. Nie powiedział słowa brzydkiego, *po matuszkie* cię nie rugnął; wielki pan. Ale wszyscy musieli go słuchać.

*Błatnyje* to byli tacy przeciętni. Poza tym żaden przyzwoity złodziej, *wor*, poza *giszowcami*, nie ukradł nic w łagrze. Mógł ograbić, napaść na nie – ludzi – bo my nie ludzie, my frajerzy [więźniowie polityczni]. W *Orszy* na naszych chłopców z *AK* napadli i oni całą noc się bili, i zwyciężyli, nie pozwolili się obrobić.

A *giszowcy* kradli.

O! Nazwiska. To jest to, co mnie zostało. W czasie śledztwa mnie wsadzili do pojedynczej celi i trzymali około czterech czy pięciu miesięcy w tej *adinoczce*, to siedziałam i zapominałam nazwiska. Specjalnie. Nie pamiętam, nie pamiętam... Do tego doszłam, że nie pamiętałam naprawdę. W tej chwili żadnych nazwiska nie pamiętam, muszę sobie zapisać. Jeżeli przekręcą nazwiska to nie dlatego, że jestem chamka, tylko dlatego, że – mimo, że mam fotograficzną pamięć, mój syn dzwoni do mnie i pyta o numery różnych telefonów – dotąd nie pamiętam nazwisk. Tak [skutecznie] wybiłam sobie pamięć nazwisk.

Pyt.: A co Pani robiła w tej *adinoczce* tyle czasu?

Siedziałam na żelaznym łóżku, na którym nie było nawet koca, żelazne pręty, z podciągniętymi nogami. Albo w pamięci rozwiązywałam krzyżówki, albo układałam powieści, albo śpiewałam. Na cały głos śpiewałam. Jak zaczęłam śpiewać memu synkowi, który miał rok, powiedział do mnie złożywszy rączki „*Macia, nie.*”

Gdyby nie łagier, nie to wszystko, nie byłabym w pełni człowiekiem. Do 1939 roku moje życie było sielanką. Po 1939 było szalenie ciekawe, bo ta cała walka w *AK* to było trochę na płaszczyźnie... dziecinady. Przestało to być dziecinadą w momencie, kiedy poszły ofiary. Ale póki się nie było ofiarą – było „*ja nie pękne*” [?].

Dopiero łagrze człowiek zrozumiał innych ludzi. Zrozumiał biedę, nędzę.

Ja byłam szalenie – według mnie – przyjemna, dzieliłam się ze wszystkimi, opowiadałam – a ludzie mnie nie lubili. Co cęła, to mnie ludzie w tej celi nie lubią.

Zacząłam się zastanawiać, dlaczego. I dzielę się, i jestem usłużna, chodzę koło starych i – według mnie – robię wszystko tak, jak trzeba. A ludzie mnie nie lubią. I rozumiałam: poklepuję po ramieniu. Jestem taka „panienka”. Tak mnie drażni, jak ktoś nie wie, co to jest... Schopenhauer. Zarabiałam opowiadając powieści – byłam cały czas głodna. Opowiadałam „Trylogię”, „Żółty i czerwony krzyż” Struga itd. I przyszedł ktoś, kto zaczął opowiadać „Trędowatą” i ja do stałam kopniaka w dupę. „Taka literatka i tej powieści nie zna!” A ja im Conrada... Po tej historii rozumiałam, na czym to polega. To, że ktoś nie czytał Struga, Mopassanta czy Prousta nie jest niczym złym. Ale że ktoś nie kocha ludzi – to jest coś złego. A ludzie są wszędzie tacy sami. Świat jest zawsze taki sam. Ja miałam snobizm inteligencji wrodzonej. Resztki tego mi zostały, dotąd nie lubię durni.

Był taki w łagrze sow – Polak, siedział 10 lat. Kończył mu się wyrok, on był w łagrze zaopatrzeniowcem, jako bezkonwojny. Miał już buty, spodnie, jedzenie – już nie był głodny, z kuchni miał po dwie – trzy miski. I jego wyrzucili – na osiedlenie, nie do miejsca zamieszkania. On bez pracy, bez zawodu, przesiedział [w obozie] 10 lat. Jak popełnił samobójstwo, miał 31 lat. Ponieważ tam nie ma drzewa, on się przywiązał do jakiegoś krzaka, skulony. On się czuł Polakiem, bardzo go lubiliśmy. Jego dziadek za powstanie styczniowe był zesłany.

Zamknęli go w trupiarni. Strażnik był w złym humorze i wsadził mnie do tego baraku – trupiarni. Mnie się zdawało, że on mnie woła, żebym koniecznie do niego poszła. I już zaczęłam zdejmować pasek, żeby się powiesić. Na szczęście Gustaw i Kazik polecili z awanturą, że „dziewczynę wsadzacie z trupem”, stali przed tymi zamkniętymi drzwiami i krzyczeli: „Baśka, Baśka, zaraz otworzymy!” Na co ja im podobno odpowiadałam, byłam w szoku: „Tolek mnie woła”. – „Baśka, to my cię wołamy!”. Jeszcze pół godziny, bym się powiesiła. Mnie się zdawało, że Tolek mnie woła. Nareszcie podeszłam do drzwi – i żyję.

Taką młodziutką dziewczynę wsadzili koło gołego trupa, ten popełnił samobójstwo... Po ciemku, tylko on jaśniej w poświacie... Pamiętam, to powraca.

Tak samo powraca jeszcze jedna historia, ciągle to śnię. W czasie bitwy o Wilno. Strasznie dużo ludzi zginęło. Już Wilno zostało zdobyte, my tam jesteśmy. Zostało wziętych do niewoli dziewięciu Niemców. Z tych jeden był ranny w udo. Siedzieli pod ścianą, na podwórku, lipiec, gorąco. Przechodzę, oni krzyczą: „Waser!” – wody. Przechodził oficer rosyjski, zabiera ośmiu, staje na przeciwko niego, powoli wyciąga z kabury rewolwer i przed nim zaczyna repetować. I ten Niemiec zaczyna krzyczeć. „Mutter! Kinder! Mutter” wrzeszczy zupełnie niehumanie. A ten powolutku... Mnie się wydaje, że to trwało wieki. Repetuje i nagle strzał, on milczy. Ja zaczynam wrzeszczeć: „Bydło! Rannych strzelają!” Stał tam taki profesor Puciata. Chwył mnie za mordę i wrzucił do piwnicy. Ten by się odwrócił i mnie zabił.

Ja tego Niemca krzyżącego widzę.

[koniec]



druleowane w „Karcie” 10/1993  
(„Nie można powrócić”)

Relacja

Barbary Rzepeckiej

nagrana 22 stycznia 1993 w Milanówku przez M. Strasz

w zbiorach AW<sup>inna</sup>  
znajduje się już <sup>inne</sup>relacja  
Barbary Rzepeckiej

Mam bardzo dużo wad. Mam jedną zaletę: niczego się w życiu nie bałam. Ani cywilnie, ani psychicznie. Może to brak inteligencji, może brak wyobraźni... Ale ja się po prostu nie boję. Uważam, że człowiek siedzący w więzieniu, skuty, jeżeli nic nie robi powodowany strachem, jest wolny. A człowiek, który jest dyrektorem departamentu i robi coś dlatego, że może przestać nim być – jest niewolnikiem.

Ludzie się boją. Oni zrobili z tego narodu [z Rosjan] zupełnie wymóżdżony, bezmózgi stwór. I zrobili to w tej chwili z nas. Oduczyli społeczeństwo pracować. Człowiek jest jednym wielkim strachem. Czytam teraz pamiętniki kresowe – strach jest dominantą uczuć. I strach był dominantą uczuć u nas [w Polsce], przez 40 lat.

Nie wiem z jakiego powodu [zwolniono mnie z obozu]; podejrzewam, że ponieważ mój ojciec stawał na głowie, żeby mnie stamtąd wyciągnąć, widocznie moje papiery były „na górze”. ZSRR tym się odznacza, że jest największym bałaganiarzem. Zawsze byłam sprytna, urządziłam się wtedy [w obozie] jako pielęgniarka, w Drugim Sangaradkie, nota bene na korpusie wenerycznym, w straszliwie rozłazącym się syfilisie. Miałam nocne dyżury. Pewnego dnia śpię. Ktoś mnie chwyta za ramię – mnie obudzić to całe życie było ciężko. „Basieczka, idziesz na swobodu”. Na co ja mówię bardzo grzecznie:

– *Idź ty k'czortu i daj spać.*

– *Basieczka!* – on krzyczy. – *W mordku mnie dasz! Czesnyje słowo, szto idziesz na swobodu!*

Ja siadłam, mówię: „Co ty gadasz?”

– *Idź!* Przesła lista oswobodzonych... – ty na tej liście i tak dalej.

Przestałam spać, włożyłam walonki, pędzę. Prawda, jest lista. Na niej jest niejaki pan Adolf Zięba, oficer „Dwójki” (starszek, miał wtedy lat 38). Mietek Cieszko, akowiec spod Lidy – z takimi wyrokami, jak ja (10 lat), ja, Polak z wyrokiem 7–letnim, jeszcze jedna kobieta, Palma, która miała taki wyrok, jak ja. Zostają Flak (teraz on się nazywa Wierzbicki), Korbecy... I strasznie śmieszne uczucie: ja się zaczynam czuć winna, że oni zostają.

Posyłają nas do Pieczory, do punktu pierzysłnego. Nazajutrz s wieszczami, zbierają się, wsadzają do pociągu. Sangaradok stał na górze – maleńki pagóreczek, ale tam nie ma roślinności, więc widać. Oglądałam się i robiło mi się przykro. Byłam szalenie przywiązana do tych ludzi, którzy zostawali. I oni byli przywiązani [do mnie], myśmy się ratowali. To jest naturalnie śmieszne i dziecinne, ale my siadywaliśmy godzinami, całymi nocami, i rozmawialiśmy na rzeczy szalenie aktualne: co by było, gdyby Władysław IV został carem Rosji? Albo: co by było, gdyby Bolesław Chrobry... Tu

wyła ta purga za nami, głodni jak nie wiadomo co, opuchnięci, bez żadnych nadziei na przyszłość... To chyba była moja zasługa. Zapominaliśmy o świecie, ponieważ robiła się piekielna awantura z powodu Watykanu, że nie pozwolił przyjąć prawosławia Władysławowi IV i dlatego...

Pyt.: I dlatego żeście w łagrze siedzieli?

Nie! Nie było łagru! To była dyskusja teoretyczna. Bo gdyby Władysław IV został carem, co by wtedy było, gdyby Polska była mocarstwem. Lager nie istniał, w ogóle nie wspominaliśmy. To było zagadnienie.

Teraz, po tych 50—ciu latach i po przeczytaniu [wielu wspomnień] widzę, co to była za psychiczna siła. Co to była za radość. Może dlatego ja wróciłam śpiewająco.

Co chwila były takie szalone zagadnienia, szalenie aktualne. Nie o tym, skąd dostać kawałek chleba, skąd dostać kawałek tytoniu. Tytoń się załatwiał; ja kiedyś czyściłam klozety za tytoń, sprzedawało się *pajkę*. Wracaliśmy z roboty, siadaliśmy i był dalszy ciąg dyskusji. Nie mówię, że ciągle, trzy lata o tym samym. Ale w tym typie. Wyższość na przykład Sienkiewicza nad Żeromskim i na odwrót. Awantura! Pamiętam, że trzy dni się kłóciłam z **Gustawem**, bo ja twierdziłam, że Sienkiewicz, a on — Żeromski.

Strasznie mi było żal. Idziemy, prowadzą nas — psy, karabiny, wszystko jak trzeba, jesteście dziwnie spokojni, i biegiem. „*Biegiem! Biegiem!*” Nagle ten „staruszek” Zięba, lat 38, mówi do mnie: „Barbara, nie wytrzymuję, serce wysiada”. A ja miałam te ogromne chody u *blatnych*. Podchodzę do jednego, nie pamiętam jak się nazywał. „*Shuszaj, ja nie magu, sierce*”. A on na to — gdybym żyła jeszcze sto lat, to bym ja to pamiętała — wysuwa się na przód, bierze harmoszkę i [śpiewa], w [powolnym] tempie. Naturalnie straż: „*Skajęj!! Takaja twaja mat!!! Skajęj!!*” [On dalej śpiewa]. w ten sposób, najspokojniej, doprowadza nas te 5 kilometrów do Pieczory.

W Pieczorze pytają się:

— *Mackiewicz!!!*

— Warwara Stanisław<sup>a</sup>owna, god ra<sup>ie</sup>dz<sup>ie</sup>ni<sup>u</sup> 24, stat<sup>ja</sup>... k<sup>o</sup>niec sroka 59 god.

To jest koniec 1948 roku.

— *Wasz srok nakazan<sup>ia</sup>ja mienajets<sup>ia</sup> na zsyłku za p<sup>ri</sup>jęt<sup>e</sup> Sowieckiego Sojuza - ~~Sowieckawa Sajuzi~~ w Polsz<sup>u</sup>. Wy sagłasny?*

Wasz wyrok zmienia się na banicję poza granice Sow<sup>e</sup>ckiego Sojuza, do Polski. Czy ja się zgadzam. Czy to nie dowcip?

Na to ja grzecznie mówię: „*Da, ja sagłasna*”. — „*P<sup>o</sup>piszytie*” — patrząc na mnie z ubolewaniem.

Moją koleżankę, która tam doszła z innego [łagru], zapytali się: „*Mof<sup>e</sup> wy choczetie ostat'sa?*”. Na co ona zaczęła histerycznie wrzeszczeć: „*Nie! nie! nie!*”. Mało jej nie zatrzymali.

Wsadzili nas do pociągu, wiozą, przywożą do Moskwy, do punktu *pieńsylanego* Kaganka. Były tam [w tym transporcie] dwie Polki i ja trzecia. Oddzielają mnie od tych kobiet, wsadzają do celi. To były chyba jedne z najgorszych dwóch tygodni, jakie w życiu przeżyłam. Bo dowiaduję się, że tamci pojechali, a mnie zostawiają. Dotąd nie wiem, dlaczego. Te dwa tygodnie były koszmarem.

Poznałam tam między innymi taką dziewczynkę, miała lat 19. Nie mówiła po polsku. Była Polką spod Baranowicz. Pytam ją:

– *Za szto ty sidfisz?* – myślałam, że za jakiś *proguł*...

– *Kak eto za szto? Za AK.*

[Rok] 48, jesień. Ja na to:

– *Kak eto „za AK”?*

Na co ona mówi po polsku:

– Nie ten Polak co ucieka, a ten co czeka.

– No dobrze. Londyn kazał wam czekać?

– A kazał. Ale my poszliśmy do lasu, bo nie możemy podatku płacić.

Myślę: ścierwa!! Wyjechała panna Mackiewiczówna, ktoś tam z inteligencji polskiej... My nie podpisaliśmy obywatelstwa, ja za to ~~wiedziałam~~ <sup>siedziałam</sup>, nie mam nogi. Przez to, że ona została już po wojnie, ona jest obywatelką [Związku Radzieckiego]. Nie ma dla niej ratunku! Ma 25 lat katongi, jedzie do kopalni.

Siedzę tam przez te dwa tygodnie. Nagle ona włązi na zakratowane okno i krzyczy do mnie:

– *Basieczka, smatri!* Nasi chłopcy.

Włazę na okno, stoi dwunastu czy trzynastu chłopaków, po lat 19–20, z orzełkami na czapce, za AK. I czyja to była wina? Bo jeżeli „nie ten Polak co ucieka, a ten co czeka”, to w takim razie siedźcie cicho i płacicie podatki. A nie idźcie walczyć do lasu. To bardzo łatwo <sup>[w Londynie]</sup> siedząc tam, pijąc wino mówić o szczeniakach 20–letnich, żeby walczyli z potęgą rosyjską. Poszli zupełnie w piasek.

Nareszcie po dwóch tygodniach mnie samą wsadzili do wagonu „zak” – to jest pulman, który ma zabite okna w przedziałach, a między korytarzem a przedziałami jest krata, okna w korytarzu. W przedziałach są trzy nary. Jedzie się przeważnie trzymając się kraty. Korytarzem chodzą [konwojenci]. Kiedyś posłyszałam, jak jeden do drugiego mówi: „*Szto ty naduśa jak polski ksiądz*”. Musiałam się schować, bo myślałam, że ryknę śmiechem; doskonałe powiedzenie.

Dowieźli mnie do Brześcia, tam był *punkt pieresylny*. Trzy dni tam siedzi<sup>a</sup>łam. Przejeżdżaliśmy przez Bug, za Bugiem coś się zepsuło i pociąg stanął. Była noc. Mnie się zechciało siusiu. Wysłałam – przerażona! Żadnego konwoju, żadnej wintowki, żadnego psa... Człowiek biedny, nieszczęśliwy, każdy na niego może napaść.

Wysłałam zrobić siusiu. Naturalnie byłam przekonana, że jestem w wolnym kraju. Jestem w Polsce – wymarzonej, ukochanej Polsce. W nocy poszłam zrobić siusiu. W momencie, kiedy wstawałam, żeby wciągnąć majtki, usłyszałam:

– Dokumenty!

– *U mjenia niet nikakich dokumentow* – po rosyjsku.

– *Idiŕcie sa mnoj!*

– *Nikuda nie ~~pojdŕ~~<sup>idŕ</sup>. Ja zdŕies' ze spŕcetapa.*

Na to on pyta, z jakiego? Mówię:

– To nie moja rzecz wiedzieć, tylko wasza. Dajcie mi spokój.

Puścili. W tym momencie zaczęło być coś nie dobrze – ja byłam w wolnej Polsce.

Z Brzeŕcia do Białej Podlaskiej jechaliśmy prawie doŕbę. Nie wiedziałam, gdzie jedziemy. Stanęliśmy w polu. Baby kopały kartofle. Ja wyciągnęłam swoje pończochy – śliczne, fildekosowe pończochy, z których byłam bardzo dumna. Podeszłam do tej baby, że ja do tych fildekosowych chcę trochę kartofli. Ona na mnie popatrzyła jak na śmierdzące łajno i powiedziała, żebym przyniosła coś, to nam da kartofli. I dali nam CAŁE WIADRO KARTOFLI. My te kartofle gdzieś ugotowaliśmy – nie pamiętam, na ognisku czy gdzieś: wyszło po pół kartofla na osobę. W życiu nie jadłam nic tak dobrego.

Jeszcze wcześniej, w Brzeŕciu stał polski kolejarz. Wskoczyliśmy, zaczęliśmy się pytać, jak to jest w Polsce. On obejrzał się, „Nic – mówi. – Ruskie nam przysyłają bawełnę, my za nią płacimy, robimy im ubranie i posyłamy. Przeważnie darmo”.

Potem wyskoczyłam [na dworzec], zobaczyłam pomidora. Musiałam mieć na jego widok taką mordę, że ten kolejarz spytał, czy chcę tego pomidora. Zobaczyłam, że kosztuje 25 złotych! Straszna ilość pieniędzy! Byłam przyzwyczajona do złotych przedwojennych. Kolejarz powiedział, że mi go zafunduje, i dał mi. Minęło 50 lat, a ja umieram ze wstydu. Zamiast polecieć do wagonu i podzielić, wlażłam za stację kolejową i sama zżarłam. To było świństwo. Mogłam się chociaż z jedną koleżanką podzielić.

W Białej Podlaskiej ustawili nas, policzyli, zrobili apel – imię, *otczestwo, god raŕdzenia*, wszystko jak trzeba – i rewizję. Już nasi. Miałam worek, niesłychanej „czystości”. Wysypałam, mówię: „Przecież to jest idiotyzm, ludzie wracają z łagrów. Co oni mogą mieć? [Tyle było rewizji], może być jeszcze jedna. Szukajcie granatów!”. Wszyscy, jak jeden mąż wybieraliśmy się walczyć o ojczyznę.

Zrobili nam rewizję jeden raz, drugi. Była ściana, na której zostawiało się wiadomości. Ja z myślą o swoich przyjaciółach, których zostawiłam, napisałam, że jadę tam i tam. Jeden jedyny adres, który miałam, to Krystyny Krahełskiej, takiej komunistki, Malczewskiego 19; to byli moi wujowie. Poza tym nie wiedziałam niczego. Gdzie syn, gdzie matka, nic. O ojcu wiedziałam, że przypuszczalnie jest w

Anglii, ale też nie wiedziałam nic. Napisałam [karteczkę z adresem], podszedł do mnie oficer, pan major Chmielewski (mam nadzieję, że siedzi w piekle) i mówi:

– No cóż to, panna Mackiewiczówna do Polski przyjechała? A coż pani będzie robić?

– Pójdę na uniwersytet.

Pomachał mi palcem.

– O, to nie pani Polska. Do roboty! Na żaden uniwersytet pani nie pójdzie.

Pomyślałam sobie „dureń jakiś”; nie wiedziałam, że on ma rację.

Dali nam po 2 tysiące złotych, przejazd darmowy po całej Polsce, gdzie [komu] trzeba. Ja wzięłam do Warszawy. Ubrali w prześliczny szynel kolejowy, w bluzę i spódnicę. Przyjechałam do Warszawy, na Woli był barak PURu, tam przenocowałam i wyszłam, żeby pojechać na Malczewskiego. Szczęśliwa, w humorze, 2 tysiące złotych... Ponieważ przez całe życie – i dotąd – kochałam wodę sodową, zobaczyłam malusieńki sklepik, gdzie dawali wodę sodową. Wchodzimy (z Jadzią – „Krakauerką”, ciągnęłam ją z sobą), przy ladzie stoi polski robotnik – to jest Wola. Patrzy na mnie i pyta: „Dziewczyno, a ktoż ciebie tak ubrał?!”. Mówię:

– Przyjaciele ze Wschodu.

– Kurwa mać! Wypijem wódki, żeby ich cholera wzięła – tak dosłownie.

Pierwszą rzecz, jaką zrobiłam na ziemiach polskich – wypiałam wódkę „na pohybel komunistom” z robotnikiem polskim. Jadzia (ta moja koleżanka) była zgorszona, że piję wódkę z mężczyzną, i do tego robotnikiem.

Z Malczewskiego odwieźli mnie na Wolę, gdzie mieszkała moja siostra. I skończyła się radość, zaczęło się najstraszniejsze w moim życiu życie. Mało powiedzieć, że byłam „kategoria B”; ja byłam „kategorii G” obywatel.

Po paru miesiącach po moim przyjeździe ukazały się we wszystkich gazetach ogromne tytuły: „Były zięć Cata – Mackiewicza agentem ...” [nie rozumiem czego] – o moim mężu, Rzepeckim, który był „Klosem” w Wilnie, w gestapo. Był wtyczką Sergiusza Piaseckiego, który był szefem Egzekutywy. Skończył u „Lupaszkii”. To bardzo piękna postać, ale miała bardzo złą opinię w Wilnie podczas okupacji. Dziesięć czy dwanaście osób wyciągnął z gestapo. Ale – był nastawiony do komunistów...

Moja ankieta [personalna] była cudowna: przed wojną nic, nic, nic; naturalnie do majątków mojej matki nie przyznawałam się. Potem się zaczynało. Do jakiej organizacji w czasie wojny? Armia Krajowa. Przez kogo sądzona? Przez „trójkę” wojskową, na 10 i 5 lat. Mąż: <sup>nr</sup>Polska <sup>ce</sup>Ludowa <sup>ej</sup> – na karę śmierci, potem zamieniono na 25 lat. Tatuńcio: PREMIER rządu londyńskiego! Moja siostra, która miała [tylko] tego „premiera”, miała wystarczająco przykrości [z tego powodu]; a już ja? Co tylko zobaczył to jakiś personalny, to jeżeli był dowcipny, zaczynał się śmiać. A niedowcipny mówił: „Nie, proszę pani, miejsc nie ma.”

Najpierw przyjęła mnie do poradni zdrowia psychicznego taka **Kuncewiczowa**, przyjaciółka Bieruta, i mnie ochraniała. Potem umarła i w ciągu dwóch dni mnie wyrzucono. Zaczęła się gehenna. I ja poszłam do stołecznego komitetu partii. Przyszłam do nich (zawsze byłam szalenie elegancko ubrana) i powiedziałam, że prostytutką nie będę, bo nie umiem i nie lubię; złodziejką nie będę, bo nie umiem i nie lubię. Jeżeli nie mogą dać mi pracy, to niech mnie wsadzają do więzienia z powrotem, a dziecko biorą do <sup>dietskiego</sup> ~~dzińskiego~~ domu. To jest rok 1951, mój syn ma lat 10. Ja jestem sama. Moja siostra z moją matką mają jedną parę butów. Nie mam mieszkania, nie mam nic.

Mieszkanie sobie o tyle urządziłam, że poszłam w Otwocku do księdza i powiedziałam mu, że są dwie siły w Polsce: Kościół i partia. Do partii się nie mogę zwrócić, a do kościoła przychodzę. On mnie znalazł pokoiczek u dwóch starych panien, arystokratek, które nie znosiły pierwiastka męskiego. Uprzedziły mnie, że żaden mężczyzna nie może tam wejść. Po pół roku sprowadziłam syna, więc były oburzone. Powiedziałam, że ja wytrzymuję ich koty, więc niech one [zniosą mego syna]. Do końca byłam z nimi w bardzo dobrych stosunkach. Bez wody, bez klozetu, z dachem przeciekającym. Jak spaliśmy, musieliśmy się zakrywać ceratami, bo się lało.

Od razu po przyjeździe poszłam na Uniwersytet, chciałam się zapisać. Chmielewski miał rację. W sekretariacie rektoratu sekretarka wzięła moją ankietę. popatrzyła na mnie i powiedziała:

– Czy Pani warto się upokarzać? Przecież Pani nie przyjmą nigdzie. Niech Pani weźmie te papiery.

Poszłam na 3–miesięczne kursy kosztów własnych. Nigdy w życiu mi się nie zdarzyło, żeby starczyło mi [pieniędzy] do pierwszego. Skończyłam z odznaczeniem.

Skierowali mnie do [pracy] – przemysł terenowy, wyroby z blachy i drutu. Na godzinę siódmą rano. Jako kosztowiec. Później byłam najlepszym kosztowcem w całym tym przemyśle terenowym. Ale co dzień o szóstej siedziałam w pociągu, a ponieważ miałam strasznie mało pieniędzy, zawsze chwytalam jakieś przepisywanie, dodatkowe prace; wracałam do domu o godzinie ósmej, dziewiątej.

Ale oni doszli do wniosku, że muszę zapłacić za to dobro. W każdej instytucji była tzw. ochrona, gdzie siedziało UB. Osobny pokój, drzwi wyciszone, ceratą obite. Dali mi pracę, nie minęły dwa tygodnie – wezwali. Co u mnie słyhać, kogo mam za granicą? Ojca. Czy się z nim komunikuję? Tak, dostałam wieczne pióro. A co ja myślę...? Co ja myślę, to ja myślę. A bo pani ma takie dobre stosunki z ludźmi, tak pani nawiązuje znajomości. Czy pani mogła/by... Co ja bym mogła? A nie, nie...

Posiedziałam tam pół godziny. Miałam za sobą półtora roku śledztwa [w Wilnie]... I mam podpisać, że nikomu nie powiem o tej rozmowie. Wyjmuję – „Widzi Pan, to

jest to pióro, które dostałam od ojca” – i piszę: „Niniejszym oświadczam, że nikomu nie będę mówić o rozmowie, która została przeprowadzona dnia...” Chcę się podpisać, „Pani poczeka. Pani podpisze, że w razie czego, gdyby coś...” Rzuciłam pióro.

– A jak nie podpiszę?

– To będzie źle.

– To będzie źle! Ja tego nie podpiszę.

*wradzali* *mnie na krótko i wypuszczali*  
Ciągali mnie, trzymali, do celi wsadzali, zdejmowali ze mnie pasek, sznurowadła – prawie 9 miesięcy. Skończyło się, jak wstałam i powiedziałam:

– *Idźcie* wy na chuj – i trzasnęłam drzwiami. Więcej się do mnie nie odezwali.

I teraz – ilu ludzi mogło się załamać? Któregoś dnia przyjeżdżam do domu, moje dziecko kroi kawałek chleba i mówi: „Dobrze, że przyjechałaś, bo nie wiedziałem, co jutro będę jadł.” Nie załamałam się, bo zanadto dobrze ich znałam. Wiedziałam, że nic mi nie zrobią. W momencie, kiedym bym podpisała – już bym nie żyła. Dlatego, że oni mają nade mną władzę i wtedy mogą ze mną robić, co chcą. A póki nie podpiszę, póki nic nie powiem, tyle mi zrobią.

Pyt.: Dokładnie tak samo, jak w Wilnie w czasie śledztwa.

Tak. No ale potem, w Grodnie, wreszcie się przyznałam.

Jedna jedyna rzecz: nie wolno pójść na sekundę ustępstwa. Nieprawdą jest, żeś mądrzejszy od nich. Ludzie podpisywali – „będę się wykręcał...” Gówno! Nie będziesz. Podpisałaś, nie spełniasz warunków – idziesz siedzieć. A tak – ja przepraszam, jestem wolna.

Naturalnie nie było to bardzo elegancko powiedzieć: „*Idź ty na chuj*”. Ale chyba to ich przekonało.

Koleżanki i koledzy [w pracy] nic o tym nie wiedzą. I mnie, jako tego wspaniałego kosztowca, chcą doksztalcić. Ja tam obliczam, ile kosztuje jeden gwóźdź do butów, siedzę całymi nocami, szukam jednego grosza... I mnie typują na kurs doksztalcający. Mam już delegację, wypisane, ile pieniędzy mam dostać, już załatwiłam, żeby ktoś przyjechał siedzieć z dzieckiem w Otwocku, idę tylko do personalnego, żeby mi podpisał legitymację i ten kwit na pieniądze. Na co personalny mówi do mnie: „A co pani myśli, że Polska Ludowa będzie panią doksztalcać? A poco nam takie? Polska Ludowa wie, kogo doksztalcać, a kogo nie. Ja nie mówię – pani dobrze pracuje. Ale niech pani siedzi cicho.” I mnie nie posłał.

Przychodzi 1955 rok, zaczyna się odwilż. Spotykam koleżankę mojej siostry, która jest dyrektorem Instytutu Wydawniczego PAX. Mówi: „Chodź do nas.” Ja wszystko rucam i do nich przychodzę. Zaczynam jako sekretarka dyrektora... Że on wytrzymał ze mną trzy miesiące, to uważam, że jest święty. Ja siedziałam rozwalona i się darłam, zawsze rozczochrana... Szybko przeszłam na tę swoją pracę lektora – oceniania [pozycji] do wydania. Literaturę mam w jednym palcu. Ze mnie redaktor

merytoryczny żaden, stawianie przecinków to abrakadabra, ale ocenić co, jak pochodzi, to ja umiem. Byłam ceniona; jedyny chyba redaktor tego rodzaju bez wyższego wykształcenia w Polsce.

Jak poszłam do PAXu, to moja rodzina zrobiła mi awanturę, że lepiej było do partii zapisać się. Nie uważam. PAX mnie uratował. W PAXie siedzieli sami akowcy, średni personel to byli ludzie najprzystwoitsi na świecie.

1957 rok. Zaczęłam pisać do „Słowa Powszechnego”, do „Kierunków”. Napisałam, dostałam jakąś wierszówkę, na rogu była knajpa. Poszłam na kieliszek wódki. Wzięłam kanapkę, kieliszek wódki, stoję. Nagle koło mnie staje facet z biczem – wozak węgla. Mówi do mnie „dzień dobry”. Ja, ponieważ jestem dobrze wychowana, mówię „dzień dobry”.

– A pani mnie nie poznaje? Bo ja byłem personalnym, w „drucie”.

– Ach – ja mówię – widzi pan, jak to Polska Ludowa wie, co robić. Ja jestem redaktorem, Pan jest wozakiem i wszystko jest w porządku.

Od 1957 roku zaczęło się lepiej.

Pyt.: W Pani relacji są takie słowa, że to, co było w Polsce, komunistycznej, było gorsze od więzienia i obozu.

Gorsze. To była beznadzieja. My wracaliśmy do wolnej Polski. Już jest po „3 x TAK”, po historii z Okulickim; my o niczym nie wiedzieliśmy. Wracaliśmy do WOLNEJ POLSKI. Byliśmy przekonani, że może mieć lewicowe rządy... Czy ja mam coś przeciw lewicowym rządóm? Ale okazało się, że wróciliśmy do kolonii rosyjskiej.

To było pokolenie ruin. Zaczęło walczyć o Polskę skończywszy lat 18, wyszedszy z gimnazjum. Moja pierwsza praca konspiracyjna była w czasie strajku [szkolnego] w Wilnie, za czasów litewskich. A ostatnia konspiracja to była wojna jaruzelsko – polska; [w moim mieszkaniu] drukowało się „Mazowsze”. Czy to nie za dużo, jak na jedno pokolenie? Naturalnie tu była młodzież, nie ja drukowałam, ale ja byłam gospodynią, odpowiadałam w razie czego.

Psychicznie było gorzej. Beznadzieja. Radość w 1956 roku – koniec. Poczucie wolności w 1980 – i potem ta straszna historia [ze stanem wojennym]. Nareszcie czerwiec 1989. Nie zależymy od Rosji, ani od nikogo.

Pyt.: Ciągłe ktoś Panią pyta o łagry, o więzienie. Gdyby Pani o to nie pytano... Czy to cały czas jest?

Cały czas. Dotąd, w momencie, kiedy się za mną zamknie drzwi na klucz, dostaję hysterii. Nie mogę siedzieć w oknie z kratami. Ja śnię.

Na czym polegała groza łagrów rosyjskich. Nie mówię o głodzie, który jest ciągle i stale. Nie mówię o zimnie, o tym, że człowiek marzył, żeby było mu ciepło. Nie mówię o zmęczeniu. O zmęczeniu to jest taka historia, że jeżeli my wstawaliśmy o godzinie 4 rano, szliśmy na *lesopowal* i wracaliśmy o godzinie 6–7 wieczór, braliśmy żarcie,



zjadaliśmy i waliliśmy się na nary. Natychmiast zasypiałam. O 4 budziłam się zupełnie wypoczęta. Jeżeli ja teraz zacznę pracować umysłowo albo coś pisać – to nie mogę zasnąć ze zmęczenia. To było naturalnie ponad możliwość tego trudu. Ale jak się oszukiwało w normach. Np. trzeba było ułożyć metr kubiczny – to znaczy po polsku sześcienne; jest cały szereg rzeczy, których ja nie umiem po polsku, nie znam polskich słów, zawsze powiem kubiczny zamiast sześcienne – chrobotku reniferowego. Żeby się do niego dostać, trzeba było śnieg wysokości tego domu przekopać kilofem, nie łopata, bo był zamrznięty, i ułożyć pryzmę. Wkładało się bryły śniegu i obkładało chrobotkiem. Co nas obchodzi, że renifery zginą z głodu? Ja mam *pajkę*.

Na samym początku była <sup>to</sup> *oleń* – *sowchozie*, na południu **Pieczory**. Sadzono tam kartofle. Żeby dojrzały i były wielkości orzecha, otaczane były ogniskami. I nagle – trzeba je pleć. No więc co robi wychowanka Polski nie – ludowej, którą nauczono pracować? Piele. Przychodzi *blatnaja*:

– *S uma sasza! Kagda ty normu sdjelaiesz? Nikagda!*

Bierze ziemię ręką i zasypuje nią zielsko. Norma jest? Jest.

Robimy nasyp pod tor kolejowy. Trzeba śnieg odgarnąć do ziemi. Tory kładzie się na śniegu. Wylatuje pociąg. A co to nas obchodzi?! W 1949 roku jak wróciłam, powiedziałam: Rosja nie może długo tak trwać, bo wszystko na tym polega. I w więzieniach, i na swobodzie.

Pyt.: Z tego wszystkiego wynika, że Pani sobie radziła. To co wraca w snach?

Powraca poczucie tego, że jesteś zamknięty. Że nie możesz się ruszyć. Że jesteś niczym.

Siedzisz na ławce i rozmawiasz z chłopakiem. Jesteś z nim w przyjaźni. I przed wami staje facet i mówi: „*Chadi!*”, i wyrzuca tego chłopaka i idzie za nim. A on bez słowa, nie może powiedzieć „do widzenia”. musi iść. Nie wiem, czy dam radę wytłumaczyć.

Człowiek wiecznie zmarznięty i wiecznie głodny. Wiecznie walczący z wszami, pluskwami.

Pyt.: Tam jest taki obrazek, że stoi Pani z Gustawem [w obozie] i oglądacie zorzę...

I ja mówię do Gustawa „warto było przyjechać, żeby to zobaczyć.”

Pyt.: Przyjechać – przejść to wszystko.

Tak.

Pyt.: I to prawda?

To prawda. Ja tak powiedziałam.

Widzi pani, może ja jestem nietypowa, może mam piekielną siłę życia, zwierzęcą. Ja nie byłam nigdy delikatniutka.

A pamięta Pani tę scenę [ze wspomnień], kiedy wchodzę do celi *blatnych* i przez pięć minut rugam się? Ja byłam wychowana, gdzie słowo „dupa” było szokiem. A tu

Musi Pani przyznać, że to było genialne. Jestem z siebie dumna.

przez pięć minut, na wszystkie sposoby, wszystkimi znanymi słowami; „ajlawiu”... To jest umiejętność przystosowania się. Jeszcze jedno: ja wiedziałam, za co siedzę. Ja siedziałam słusznie, sprawiedliwie – ja byłam wrogiem. Ja siedziałam za Polskę. Byliśmy tak wychowani. Siedzenie mnie nie upokarzało. Gdybym miała usiąść za to, że ukradłam 5 złotych, to bym chyba umarła ze wstydu. A my wiedzieliśmy, za co siedzimy.

Pyt.: W poprzedniej relacji są takie zdania, że jesteście przegrani – wy, akowcy z Kresów.

Przegraliśmy strasznie. Bo co to jest ojczyzna. Ojczyzną dla każdego jest co innego. Dla urzędnika biurko, dla wojskowego – szabelka. Ten kościół obok... Niech Pani nie wierzy, że ojczyzna to coś abstrakcyjnego. Żeby coś kochać, trzeba to mieć namacalnie.

Dla mnie ojczyzna to była moja ziemia, cały Kres i Wilno. I ja tę ojczyznę straciłam. NIGDY nie przyzwyczaję się do Mazowsza. Do ludzi z Mazowsza. Do traktowania przez nich zwierząt. Tamten chłop był biedny, głodny, ale nie przywiązał psa na krótkim kawałku sznurka; siedział na przyzbie i ostatnim kawałkiem chleba dzielił się z psionkiem.

Ja nie wiem, czy bym z Wilna wyjechała. Ja zostałam wywieziona. W tej chwili Wilno jest litewskie i takie pozostanie, zresztą Wilno zawsze było stolicą Litwy. Ale myśmy Wilno stracili.

Nie można powrócić. Byłam w Wilnie w 1979 roku, chodziłam po tych samych chodnikach... W tym samym miejscu załamuje się chodnik, przed naszym domem. Mówiłam wszędzie po polsku i ci Litwini wszyscy mówili po polsku. Ale Wilno już nie jest takie. Przepiękna architektura. Tam w ogóle nie było klasy robotniczej, bo była [tylko] jakaś głupia gazownia. To było miasto uczącej się młodzieży i inteligencji. Miało swoje wady, ale miało charakter, było dowcipne, wesołe. Teraz? W którymś z pamiątek tak jest napisane o życiu w Związku Radzieckim: „życie koloru szarego błota”. Genialne.

Nie można do [tego świata] powrócić, bo go nie ma.

Pyt.: A do siebie?

Czyż można do siebie? Do mnie skaczącej z wagonu na wagon po dachach jadącego pociągu – teraz, kiedy ja siedzę i jest zagadnieniem podejść do tamtego stolika? Już sama nie podejdzę, nie przeniosę kromki. Ja, która na świecie nic tak nie kochałam jak lasu. Chodzenie po lesie. Nie boję się lasu, ja się boję tłumu. Jedyna rzecz, której się boję, to tłum.

Pyt.: Ale zawsze się Pani bała czy dopiero od jakiegoś momentu?

Nigdy nienawidziłam tłumu. Nigdy nie jeździłam na wycieczki. A po lesie przez całe życie, przed okupacją, w czasie okupacji i po, już w Polsce Ludowej. Nocami chodziłam po lesie zupełnie sama.

~~głowa & sen podryw, jakie ona straciła, "U was zakwitł kwiat"?~~  
10 - Nat

Ja wychodzę na kogoś podejrzanego: co jej tak wesoło było?

Węgielny, mój dowódca. siedział za czasów pierwszej okupacji [sowieckiej] i mówił mi, jak wygląda śledztwo. Powiedział o tym wszystkim, ja się później tego trzymałam.

Koniec końcem wyszłam człowiekiem bez nerki – z głodu, okazało się; bez nogi... Nie wyszłam tak już zupełnie lekką ręką. A to, że się nie dałam złamać psychicznie. Czy to moja wina? Czy ja muszę tak płakać jak wszyscy?

Płakałam raz, jak przejeżdżałam granicę Komi ASSR i krzyknięto do mnie: „*Słuszaj Polka, zdies' Polki z Wilna*”. Wychyliłam się, okazało się, że znajome. Jak mnie aresztowali, byłam przekonana, że Ryszard [syn] nie żyje, moja matka nie żyje, wszyscy; oni byli w powstaniu, w Warszawie. I mnie było wszystko jedno – aresztowali to aresztowali. pies mordę... I tak życia nie ma, i tak. Okazało się, że oni żyją. Wtedy się rozplakałam, że nie uciekłam z Wołkowyska.

Miałam dystrofię, „dochodziłam”, miałam 50 wrzodów na jednej nodze (teraz mi ją odjęli) i 30 – parę na drugiej. Były takie momenty – beznadzieja, właśnie ta szarość błota. Leżałaś na narach, szła po tobie pluskwa i nie chciało się tobie jej rzucić. Nazwałam to wtedy chorobą „*wsio rawno*”. Ale wtedy ratowały te „zasadnicze” rozmowy o Bolesławie Chrobrym. Zamiast siedzieć i rozmyślać, skąd jutro wezmę *pajkę* albo co będzie za 10 lat.

Oni dobijają człowieka beznadzieją. I trzeba mieć ogromnie silny charakter, żeby z tej beznadziei się wyrwać.

Pyt.: Czy jest w Pani teraz jakiś obszar, coś o czym Pani wie, że na pewno wzięło się z obozu? Albo że mogło się wziąć tylko z więzienia?

Mam wrażenie, że moje absolutnie plucie na to, jak wyglądałam, wzięło się z obozu. Mnie nic nie obchodzi, co mam na siebie włożyć.

Poza tym chyba ta rezygnacja jest z obozu – mnie jest dobrze, tak jak jest.

Pyt.: Bo może być gorzej?

Tak jest.

Tę [drugą] nogę będę miała jeszcze 5 lat; już się zaczyna.

Zawsze możliwa jest śmierć, i to jest cudowne. W moich warunkach to jest cudowne, bo przestaję brać insulinę, zasypiam i koniec.

To, co powiedział Węgielny, to prawda: ja po wariacku nie boję się śmierci. To nie jest normalny stosunek do śmierci.

Dwa i pół lata temu, jak mnie odbierali nogę, wszyscy twierdzili, że nie przeżyję operacji. Każdy lekarz, mój syn chodził blade, siostra nasyłała księży, których ja goniłam. Wszyscy byli przekonani, że nie przeżyję i JA byłam przekonana, że nie przeżyję. Bo ponoć miałam chore serce. Mam cukrzycę, nie wolno mi podawać

narkozy. Zrobili mi znieczulenie. Usłyszałam, jak ta piłka dż—dż—dż, zapytałam lekarza, czy to moja noga, powiedział, że tak. I patrzyłam na monitor, jak mi serce chodzi. Żeby, kurwa, chociaż drgnęło inaczej! Od tego czasu nie wierzę w lekarzy.

Pyt.: Zaskoczyło Panią, że nie umarła?

Bardzo. Jechałam na operację przekonana, że z niej nie wrócę. Potem tylko miałam szok i — o! więzienne. Że siedzę między szafami i nie mogę wyjść. I że gaz na mnie puszczają. Pamiętam: „Dlaczego na mnie gaz?”

Nie boję się śmierci zupełnie. I to jest nienormalne. Normalny człowiek musi się bać.

Pyt.: A jak była Pani młoda, też się nie bała?

No nie bałam się. Z miejsca zaczęłam w 1939 roku, kiedy ileś tam razy mieliśmy być rozstrzelani. Potem szłam do swojej przybranej siostry i weszłam na bolszewików. O tu pamiętam. To było dziwne. Szłam, wzięli mnie naturalnie za szpiega. „Razstrielajem.” „No dobrze, rozstrzelajcie. Ale najpierw sprawdźcie, po co macie brać na sumienie. Tam jest dziewczyna bez obu nóg, do niej idę.” Siadłam, bojec poszedł, [drugi został ze mną]. Pamiętam, popatrzył na mnie i mówi: „*Żалко, takaja мiладзья... Але ето логкая смерць*”. Pocieszył. A ja siedziałam i cały czas jak zepsuta płyta: „Aha, to już koniec. Aha, to już koniec. Aha, to już koniec. Aha...” Nic, tylko zacięta [płyta], żadnej innej myśli.

Poza tym Niemcy parę razy mnie chwyтали, jakoś się wymigiwałam. Może się już przyzwyczaiłam, że śmierć idzie koło mnie, pod rękę.

Strata miłości. Ja nigdy nie zobaczę swojej Lickowszczyzny, krzyża na pagórku, stawu, który już wysechł. Alei kasztanowej, którą pocięły chamy. Nigdy nie zobaczę, nawet jak tam pojedę. Ja śnię, że tam jestem i proszę, żeby mnie zostawić, że będę tam mieszkać.

Nie ma tego świata. Koni, które się pławiło. Jeździło się bryczkami... Nienawidzę samochodów.

Teraz to już beznadziejnie: ja nie mogę wrócić. Dopóki miałam nogę, mogłam wrócić. Zaszyć się gdzieś, wziąć psy i mieszkać. Teraz już nie.

W tej chwili mnie czeka tylko śmierć. I rozmowy. I czytanie.

Pyt.: W relacji wymienia Pani człowieka, który się nazywa Antek Kiwilszo.

Nie wiem, czy on żyje. Mieszkał na ul.Koziej, róg... Naprzeciwko Pałacu Staszica. Calusieńką okupację przesiedział drukując. UB go aresztowało i zrobiło z niego zupełnego wariata. To było coś strasznego. Ten facet siedział całymi [nocami]. Porąbał tapczan, bo jak zasypiał, to UB na niego rzucało z sufitu gaz trujący. Według niego. [To już w jego domu]. Ostatni raz, jak go widziałam, siedział na takim małym zydelku, żeby nie zasnąć. Spadał z tego zydelka.

Dostał ks i czekał na wyrok. I go straszili.

Czekanie na wyrok może wykończyć człowieka. TO może zupełnie wykończyć. Ja czekałam na „wyrok” 20 min.; „Aha, już koniec...”. A gdybym miała czekać trzy miesiące? Jemu dali ułaskawienie w nocy, kiedy miał być zabity.

Niedosyt. Nie spełniam oczekiwań [słuchacza]. Każde cierpienie jest dla mnie rzeczą zanadto intymną.

Wsadzili mnie do karceru, setny raz. Gdyby nie te karcery, moje zdrowie inaczej by wyglądało. Ale musiałam rozrabiać, bo mnie roznosiło. Rozebrali mnie do koszuli, woda, zimno jak cholera. Ratował mnie jeden *blatnoj*, ja byłam sławna na całe Łukiszki, bo nadawałam Morse’a, całymi godzinami. On mi w nocy dawał swoją *tielogręjkę*. Dzięki temu przeżyłam. Ale parę razy dziennie przychodził do mnie *grażdaniin śledczy*. I pytał:

– *Biała pticzka, charaszo?*

Na co ja odpowiadałam za każdym razem: „*Prękrasno, grażdaniin sleeeedowatiel*” trzęsąc się z zimna. „*Prękrasno, grażdaniin*” dawałam radę, a na „*sledowatiel*” się trzęsłam. To jest i tragiczne, i śmieszne.

Czy z tego mojego opowiadania nie widać, że to było ciężkie? Po co jeszcze dodawać?

Jak Pani chce, mogę opowiedzieć, jak człowiek ledwo włókł się za brygadą, bo tak bolały wrzody na nogach. Każdy krok był straszliwą męczarnią. Ale wtedy jechało się do *sangaradka* i leczyli. To już są czasy powojenne.

Polaków [w tym obozie] było bardzo mało. To była inteligencja, akowcy, wiedzący, za co siedzą. Ukraińców była masa, każdego rodzaju; to byli chłopci. Między nimi byli tacy, którzy jedni drugich wydawali. tacy, którzy byli parszywcy, i tacy, którzy byli przyzwoici. Ale ich było dużo. Gdyby Polaków była masa, też [wielu byłoby takich], którzy zachowaliby się jak świnie. Tak samo Litwini. Zachowywali się w łagrach nieładnie – to, co ja widziałam. Nie znaczy to, że mogę powiedzieć, że wszyscy Litwini zachowywali się jak świnie. Tyłem do siebie; dostała paczkę, tyłem do swoich koleżanek siadała i zjadała. W tamtych warunkach to było obrzydliwe.

Nie dowieźli nam chleba i wysyłają do roboty. Wyszliśmy *nocą*, napewno kilkuset albo i więcej ludzi. „Chleba! Chleba!”. Wszedł naczelnik łagru i mówi: „Ludzie, nie dowieźli, nie ma.” Na to my powiedzieliśmy: „Co nas to obchodzi?!” – grzecznie ryczał tłum. Że nie pójdziemy do pracy, póki nam nie dadzą chleba. Po dwóch godzinach chleb był.

Z *blatnymi* trzeba było bardzo ostrożnie. Nie można było z nimi zanadto się przyjaźnić. Ale trzeba było być dla nich grzecznym, oni wtedy byli dla ciebie grzeczni.

*Blatnyje* dzielą się na *blatnych*, *urki* i *giszowców*. *Giszowcy* to jest *padło*, zdolni są na wszystko.

Pyt.: Ale to nie są *suki*?

*Suki* to jeszcze co innego. To są ci, którzy zaczęli pracować, *zsuczyl* się.

Pyt.: I obojętnie, czy wcześniej byli *blatnymi*, *urkami* czy *giszowcami*?

Ale! *Urka* się nie *zsuczyl*! *Urka* nawet brzydkich wyrazów nie mówił. W *Grodnie* siedział wielki *urka*, przechodziłaś, to naturalnie wywalił *walczok* i mówił: „*Dziwuszka, mozet byt' u was tabaczku jest' skolko nibud'?*” Dawałaś mu [tytoń], „*Spasibo, oczeń spasibo.*” A potem siadał na łóżku i zaczynał wrzeszczeć. I darł mordę przez pięć dni bez przerwy. Jak ten człowiek wytrzymał, ja nie wiem. To był *urka*. Nie powiedział słowa brzydkiego, *po matuszkie* cię nie rugnął; wielki pan. Ale wszyscy musieli go słuchać.

*Blatnyje* to byli tacy przeciętni. Poza tym żaden przyzwoity złodziej, *wor*, poza *giszowcami*, nie ukradł nic w łagrze. Mógł ograbić, napaść na nie – ludzi; ~~bo~~ bo my nie ludzie, my frajerzy [więźniowie polityczni]. W *Orszy* na naszych chłopców z *AK* napadli i oni całą noc się bili, i zwyciężyli, nie pozwolili się ~~obrobić~~ *ograbić*.

A *giszowcy* kradli.

O! Nazwiska. To jest to, co mnie zostało. W czasie śledztwa mnie wsadzili do pojedynczej celi i trzymali około czterech czy pięciu miesięcy w tej *adinoczce*, to siedziałam i zapominałam nazwiska. Specjalnie. Nie pamiętam, nie pamiętam... Do tego doszłam, że nie pamiętałam naprawdę. W tej chwili żadnych nazwiska nie pamiętam, muszę sobie zapisać. Jeżeli przekręcam nazwiska to nie dlatego, że jestem chamką, tylko dlatego, że – mimo, że mam fotograficzną pamięć, mój syn dzwoni do mnie i pyta o numery różnych telefonów – dotąd nie pamiętam nazwisk. Tak [skuteczniej] wybiłam sobie pamięć nazwisk.

Pyt.: A co Pani robiła w tej *adinoczce* tyle czasu?

Siedziałam na żelaznym łóżku, na którym nie było nawet koca, żelazne pręty, z podciągniętymi nogami. Albo w pamięci rozwiązywałam krzyżówki, albo układałam powieści, albo śpiewałam. Na cały głos śpiewałam. Jak ~~zaczęłam~~ *zaczęłam* śpiewać memu synkowi, który miał rok, powiedział do mnie złożony rączki „*Macia, nie.*”

Gdyby nie łagier, nie to wszystko, nie byłabym ~~w pełni~~ *w pełni* człowiekiem. Do 1939 roku moje życie było sielanką. Po 1939 było szalenie ciekawe, bo ta cała walka w *AK* to było trochę na płaszczyźnie... dziecinady. Przestało to być dziecinadą w momencie, kiedy poszły ofiary. Ale póki się nie było ofiarą – było „ja nie pękne” [?].

Dopiero w łagrze człowiek zrozumiał innych ludzi. Zrozumiał biedę, nędzę.

Ja byłam szalenie – według mnie – przyjemna, dzieliłam się ze wszystkimi, opowiadałam – a ludzie mnie nie lubili. Co ceka, to mnie ludzie w tej celi nie lubią.

Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego. I dzielę się, i jestem usłużna, chodzę koło starych i – według mnie – robię wszystko tak, jak trzeba. A ludzie mnie nie lubią. I rozumiałam: poklepuję po ramieniu. Jestem taka „panienka”. Tak mnie drażni, jak ktoś nie wie, co to jest... Schopenhauer <sup>czy Einstein</sup> zarabiałam opowiadając powieści – <sup>nie wstąpiłam</sup> byłam cały czas głodna. Opowiadałam „Trylogię”, „Żółty i czerwony krzyż” Struga itd. I przyszedł ktoś, kto zaczął opowiadać „Trędowatą” i ja do stałam kopniaka w dupę. „Taka <sup>nie</sup> literatka i tej powieści nie zna!”. A ja im Conrada... <sup>wtedy</sup> Po tej historii rozumiałam, na czym <sup>mieli bród</sup> polega. <sup>4</sup> To, że ktoś nie czytał Struga, Mopassanta czy Prousta nie jest niczym złym. Ale że ktoś nie kocha ludzi – to jest coś złego. A ludzie są wszędzie tacy sami. <sup>ludzie się dzielą według zarobków, i tego wylowisz</sup> Świat jest zawsze taki sam. Ja miałam snobizm inteligencji wrodzonej, <sup>nie polska</sup> Resztki tego mi zostały, dotąd nie lubię durni.

<sup>W leśnicy narodnie cz geniowce, śmieci, lewos i alfonsy.</sup>

Był taki w lagrze sow – Polak, siedział 10 lat <sup>W 1947 r.</sup> Kończył mu się wyrok, on był w lagrze zaopatrzeniowcem, jako bezkonwojny. Miał już buty, spodnie, jedzenie – już nie był głodny, z kuchni miał po dwie – trzy miski. I jego wyrzucili – na osiedlenie, <sup>nie do</sup> miejsca zamieszkania. On bez pracy, bez zawodu, przesiedział [w obozie] 10 lat. Jak popełnił samobójstwo, miał 31 lat. Ponieważ tam nie ma drzewa, on się przywiązał do jakiegoś krzaka, skulony. On się czuł Polakiem, bardzo go lubiliśmy. Jego dziadek za powstanie styczniowe był zesłany.

Siedział w lagrze od czasu Jagody, przed [imię] [nazwisko] był sędziem. Odwodził swoje lata i został zwołany z sągowskiego na wolność. Drugiego dnia wyciął, wiało w kociole polskiego baraka i nie mam gdzie się co bez tego wbić? Nade mną jest liście praw. Pocięli go, ale uszajon przypięli wózek Tolek, który powinien się w trudne.

Zamknęli go w trupiarni. Strażnik był w złym humorze i wsadził mnie do tego baraku – trupiarni. Mnie się zdawało, że on mnie woła, żebym koniecznie do niego poszła. I już zaczęłam zdejmować pasek, żeby się powiesić. Na szczęście Gustaw Kazik polecieł z awanturą, że „dziewczynę wsadzacie z trupem”, stali przed tymi zamkniętymi drzwiami i krzyczeli: „Baśka, Baśka, zaraz otworzymy!”. Na co ja im podobno odpowiadałam, byłam w szoku: „Tolek mnie woła”. – „Baśka, to my cię wołamy!”. Jeszcze pół godziny, bym się powiesiła. Mnie się zdawało, że Tolek mnie woła. Nareszcie podeszłam do drzwi – i żyję.

Taką młodziutką dziewczynę wsadzili koło gołego trupa, ten popełnił samobójstwo... <sup>no</sup> Ciemba, tylko on jaśnieje w poświęcie... Pamiętam, to powraca.

Tak samo powraca jeszcze jedna historia, ciągle to śnię. <sup>W czasie Bitwy</sup> o Wilno, Strasznie dużo ludzi zginęło. Już Wilno zostało zdobyte, my tam jesteśmy. Zostało wziętych do niewoli dziewięciu Niemców. Z tych jeden był ranny w udo. Siedzieli pod ścianą, na podwórku, lipiec, gorąco. Przechodzę, oni krzyczą: „Wasser!” – wody. <sup>sołtys</sup> Przyszedł oficer <sup>rosyjski</sup>, zabiera ośmiu, staje na <sup>ranne</sup> przeciwko niemu, powoli wyciąga z kabury rewolwer i przed nim zaczyna repetować. I ten Niemiec zaczyna krzyżeć. „Mutter! Kinder! Mutter”, wrzeszczy zupełnie nieludzko. A ten powolutku... Mnie się wydaje, że to trwało wieki. Repetuje i nagle strzał, on <sup>milknie</sup> ~~milknie~~. Ja zaczynam <sup>krzyżeć</sup> wrzeszczeć: „Bydło! Rannych strzelają!”. Stał tam taki profesor Puciata. Chwycił mnie za mordę i wrzucił do piwnicy. Ten by się odwrócił i mnie zabił.

Mój ulubiony Saint - Exupery też był kolaborantem. Ludzi nie trzeba młotować tak, jak imi oni są. Ja jestem inteligentniejsza, więc jestem szara! Ciężko jakże szara.

Ja tego Niemca krzyczącego widzę, *czsto świs*.

[koniec]